Nr. 18.

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 9-go maja 1942r. | Rok IV. Nr. 19

LEKCJA 1918 ROKU

Wiele miesięcy temu, w lecie ubiegłego roku stwierdzaliśmy na tym miejscu:

". . . Rok 1941 niemal do złudzenia przypomina rok 1917. Ale w takim razie narzuca się niemal automatycznie uwaga następująca: Jeśli powtarza się teraz rok 1917, to w roku przyszłym powinniśmy przeżyć ponownie rok 1918 . . ."*

Nadszedł rok 1942. Stoimy u progu wiosny, która zapowiada sie jako szczytowy punkt wojny. Chwila wydaje się odpowiednia, aby zastanowić się ponownie nad zagadnieniem czy rok 1942 może, i w jakim stopniu, stanowić powtórzenie pamiętnego roku 1918.

Są niewątpliwie podobieństwa i to podobieństwa wprost niezwykle znamienne. Ale niepodobna zaprzeczyć, że są także różnice.

Niemcy u progu kampanii 1942 roku bardzo poważnie przypominają Niemcy z początków 1918 roku. Cóż bowiem widzimy? Niemcy dzisiejsze są niewątpliwie zmęczone, ale wciąż jeszcze silne. Tak samo było na początku 1918 roku. Tak jak i wówczas, naród niemiecki znosi cierpliwie wielkie straty, jak również co raz poważniejsze ograniczenia, będące w dużej mierze wynikiem blokady brytyjskiej. Tak jak i wówczas, wierzy jeszcze w zwycięstwo, a przynajmniej w możliwość zmuszenia przeciwnika do korzystnego dla Niemiec kompromisu.

Podobnie jak przed 22 laty Niemcy poświęciły zimę na przygotowania do największej, decydującej ofensywy. Podobnie jak wówczas bowiem sternicy polityczni i wojskowi Rzeszy wiedzą, że muszą sie śpieszyć, że nie mogą czekać aż pojawi się na frontach cała potęga Stanów Zjednoczonych. I tak samo łudzą się, że zdążą . . .

U progu 1918 roku niemiecka machina wojenna była już nadwyrężona, ale nie mniej zdolna jeszcze do zadania ciężkich ciosów. I podobnie ma się rzecz obecnie.

Jeśli z kolei przeniesiemy się na stronę Sprzymierzonych, to również podobieństwa są wielkie. Szczególnie uderzający jest fakt, że—przynajmniej do niedawna—Sprzymierzeni robili plany ofensywy dopiero na rok 1943 czy zgoła 1944, ściśle naśladując pod tym względem sterników polityki Aliantów, zwłaszcza zaś Imperium Brytyjskiego, z ostatniego roku wojny światowej. I tamci bowiem nie liczyli się z możliwością wielkiej, rozstrzygającej ofensywy w roku 1918. Nikt nie śmiał marzyć o osiągnięciu zwycięstwa, zanim skończy się ten rok. Za najwcześniejszy termin uważano rok 1919, jeśli nie zgoła 1920 . . . Dowództwo alianckie, opracowywało plany wielkiej ofensywy z udziałem tysięcy czołgów właśnie na rok 1919. Gdyby powiedziano wówczas, że ta ofensywa nie będzie potrzebna, i że Niemcy załamią się znacznie wcześniej, to optymista, którypy wystąpił z tego rodzaju tezą zostałby niewątpliwie wyśmiany.

Trzeba zresztą przyznać, że Sprzymierzeni u progu 1918 roku mieli wszelkie powody do tego, aby nie liczyć na możliwość szybkiego zwycięstwa i robić plany raczej na dalszą metę. Jeśli rozpatrzyć wszystkie podobieństwa i różnice między rokiem 1918 i 1942, to trzeba dojść do wniosku, że sytuacja Niemiec była stosunkowo korzystniejsza wówczas, niż jest dzisiaj.

U progu 1918 Niemcy zlikwidowali wreszcie to, co stanowiło zawsze i stanowi po dziś dzień ich zmorę największą: wojnę na dwa fronty. Od 1914 do końca 1917 siły ich były podzielone między zachód i wschód, między Francję a Rosję. Dopiero traktat pokoju w Brześciu położył kres istnieniu frontu wschodniego i pozwolił skoncentrować Niemcom wszystkie siły dla rozstrzygającej ofensywy na froncie zachodnim. W ciągu zimy przerzucono milion żołnierzy niemieckich ze wschodu na zachód.

Formalnie teraz istnieje też tylko jeden front z tym, że podczas gdy w wojnie poprzedniej załamała się Rosja, a wytrzymała—z największym trudem—Francja, to teraz role uległy odwróceniu i rolę Lenina oraz Trockiego odgrywają Pétain z Darlanem. Ale w porównaniu z tamtym momentem zachodzi ta zasadnicza różnica, że front drugi istnieje w stanie potencjalnym i może powstać każdej chwili. Niemcy muszą więc trzymać poważne siły dla obrony na zachodzie. Ten potencjonalny front drugi jest przy tym niesłychanie długi, gdyż ciągnie się od Cap Nord do granicy hiszpańskiej. Nie można więc mówić o możliwości takiej koncentracji przeciw Rosji w roku bieżącym, jak na zachodzie w marcu 1918.

Inny czynnik jest nie mniej ważny. Jest nim stopień obustronnego wyczerpania. Otóż Niemcy można uważać za wyczerpane mniej więcej w tym samym stopniu, co u progu 1918 roku /Oczywiście porównania są tu bardzo trudne ze względu na brak danych o obecnych stratach niemieckich/. Rosja wydaje się mniej wyczerpana, aniżeli Francja wraz z Włochami przed 22 laty. Natomiast, jeśli chodzi o Wielką Brytanię, to sytuacja jest nieporównanie lepsza, aniżeli była wówczas.

U progu ostatniego roku poprzedniej wojny Wielka Brytania była w stanie daleko posuniętego wyczerpania. Szczególnie ciężko przedstawiał się bilans roku 1917, kiedy armia brytyjska wykrwawiła się straszliwie w jałowej, a niesłychanie kosztownej ofensywie w rejonie Paschendaele. Polczas zimy 1917-18 Brytyjczycy mobilizowali swe ostatnie rezerwy, a rząd musiał uznać, że w ciągu najbliższego roku nie może być mowy o powtórzeniu ofensywy na skalę ofensyw poprzednich. Brytyjczycy i Francuzi musieli czekać aż dywizje amerykańskie wypełnią luki, których własnymi siłami już wyrównać nie byli w stanie.

Nie mamy kompletnych cyfr strat poniesionych przez W. Brytanię i Dominia w wojnie obecnej. Do końca 1940 wyniosły one w zabitych, rannych i jeńcach 92.000 ludzi. Dodając straty w kampaniach greckiej, kreteńskiej, libijskiej i t.d. jak również na Dalekim Wschodzie otrzymamy zapewne cyfrę ok. 250.000 ludzi. W porównaniu ze stratami w wojnie światowej jest to ilość znikoma. Można bez przesady powiedzieć, że W. Brytania po dwu i pół latach wojny ma swe zasoby ludzkie nietknięte.

Niewątpliwie w porównaniu sytuacji w roku 1918 i 1942 zachodzi ta różnica na korzyść Niemców, iż siły ich przeciwników muszą się rozpraszać na więcej teatrów wojny, przyczem zwłaszcza Daleki Wschód stawia duże wymagania. Poza tym jeśli porównać ówczesny i dzisiejszy front bliskowschodni, to wprawdzie i wówczas wymagał on ciągłego dopływu posiłków z W. Brytanii i Dominiów, ale trasy żeglugi, która szła Morzem Śródziemnym, były znacznie krótsze, niż obecnie.

Można by wyliczyć jeszcze inne momenty, które są obecnie korzystniejsze dla Niemiec, niż przed 22 laty, ale sumując wszystko razem, nie mniej można stwierdzić, że sytuacja Niemiec była wówczas stosunkowo lepsza, niż obecnie.

A jednak Niemcy, które były w stanie podjąć w marcu 1918 największą z całej wojny ofensywę, w pół roku później zwaliły się w otchłań klęski. Jak to było możliwe?

Odpowiedzi szukać należy niewątpliwie właśnie w tej wielkiej ofensywie niemieckiej. Niemcy musiały wówczas postawić wszystko na jedną kartę. Nie mogły—jak już podkreśliliśmy—czekać aż Sprzymierzeni będą gotowi do decydującego uderzenia, aż przyjdą dziesiątki dywizji amerykańskich, aż bitwa o Atlantyk zostanie ostatecznie przegrana. Musiały śpieszyć się i ryzykować. Ludendorff powiedział sobie: Nie mamy nic do stracenia. Jeśli nie wygramy teraz, rzucając wszystkie siły do ostatecznej ofensywy, to i tak jesteśmy przegrani. Na wojnę na przetrzymanie nas nie stać.

Niewiele brakowało, aby Niemcy wygrały. Straszliwa ofensywa, rozpoczęta 21 marca 1918 dała początkowo Niemcom wielkie sukcesy. Ale nie starczyło im tchu. Po kilku miesiącach siły niemieckie były wyczerpane, a przeciwnik choć też wykrwawił się poważnie, to jednak nie był powalony na kolana.

Teraz wypadki mogły potoczyć się szybko. Alianci zapomnieli o swych planach na 1919 czy 1920 rok . . . Przeciwnik był osłabiony, wyczerpany. Siłami znacznie mniejszymi, niż te, które uważano za potrzebne dla zadania decydującego ciosu w roku następnym, można było wykończyć go w ciągu lata i jesieni 1918.

Dziś gdy Niemcy szykują się do "decydującej" ofensywy na wschodzie, czując że znowu, tak jak w 1918 roku, nie mogą czekać, gdy raz jeszcze mogą osiągnąć poważne sukcesy dzięki sile swego uderzenia, warto pamiętać o wypadkach 1918 roku. Podobnie jak wówczas, sukcesy niemieckie będą okupione ciężkimi stratami i daleko idącym wyczerpaniem. Nadejdzie chwila, gdy można będzie uderzyć na osłabionego przeciwnika siłami znacznie mniejszymi aniżeli te, które musiałyby być użyte w roku 1943 czy 1944 . . .

Rok 1918 stanowi lekcję, którą trzeba stale mieć w pamięci.

ALEKSANDER BORAY

* Por. "Polska Walcząca" nr. 33 z 16.VIII.1941.

W dniu Rocznicy Konstytucji Polskiej, spełniam miły obowiązek przesłania najgorętszych życzeń od oficerów i żołnierzy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych towarzyszom broni, bohaterskim oficerom i żołnierzom polskich sił zbrojnych.

Wojsko amerykańskie i obywatele amerykańscy oddawna brali natchnienie z przykładów polskiego patriotyzmu, odwagi i lojalności. Zaczęło się to od chwili, kiedy wielki Kościuszko i Pułaski oddali bezcenne usługi Generałowi Washingtonowi w wywalczeniu naszej niepodległości. Dziś znowu wspaniały przykład polskiego patriotyzmu i wytrwania uczyniły Polskę symbolem odwagi dla miłujących wolność ludów sprzymierzonych.

W Anglii, Afryce, na Środkowym Wschodzie i innych rozrzuconych daleko ziemiach, żołnierze polscy okrywają się chwałą w działaniach wojennych przeciwko państwom Osi. W Polsce mężczyzni, kobiety i dzieci wzbraniają się pójść w jarzmo tyranii nazistowskiej i zwalczają niszczycieli swego kraju wszystkimi możliwymi sposobami. Nie wiedzą oni co znaczy poddać się i nie będą wiedzieli nigdy.

Umiłowanie wolności łączyło Polskę i Stany Zjednoczone w jednej i tej samej sprawie. W naszym wojsku i w naszym przemyśle wojennym jest wiele tysięcy żołnierzy i robotników pochodzenia polskiego, którzy stanowią jeszcze jeden węzeł między naszymi krajami. Tak, jak i my, postanowili oni nigdy nie zaprzestać walki lub pracy, póki nie osiągniemy ostatecznego zwycięstwa, które napewno będzie naszym udziałem.

Oficerowie i żołnierze polskich sił zbrojnych, pozdrawiamy Was dzisiaj tym życzeniem: "Polska powstanie znów, świetniejsza niż kiedykolwiek."

/Depesza z okazji rocznicy Konstytucji 3-go Maja od Generała George Marshall'a do Generała Sikorskiego/

Z okazji Waszego Święta Narodowego, w którego dniu obchodzicie rocznicę Pierwszej Konstytucji Polskiej, przesyłam Panu pozdrowienia od wszystkich Sił Zbrojnych Wielkiej Brytanii i Dominiów, znajdujących się na Środkowym Wschodzie.

Byliśmy świadkami męstwa i poświęcenia Waszych oddziałów w Pustyni Zachodniej i nie wątpimy, że Polska odzyska wolność.

Żywię głęboką wiarę, że nadejdzie dzień, w którym znowu obchodzić będziecie Wasze Święto Narodowe we własnym Kraju.

/Depesza Generała Auchinleck'a do Generała Sikorskiego/

rys. Tadeusz Franaszczuk



Jeszcze jeden spaczony obraz Polski

Każdą z angielskich książek politycznych, jakie dziesiątkami wyskakują ciągle na półki księgarskie, otwieramy z pośpieszną ciekawością, czy znajdą się w niej ustępy i wzmianki o Polsce. Nieraz serce zabije radością, gdy czuje się, że autor usiłuje zrozumieć nasze trudności i wiekową niedolę, przebijając się przez góry fałszów, gromadzonych latami wysiłkiem propagandy niemieckiej. Postawa ta często powodowana jest bezstronnością, zrzadka sympatią. Nieraz jednak wzrok biegnie przez karty chłostań i oszczerstw, a twarz pokrywa rumieniec oburzenia.

JEDEN Z "ASÓW" AMERYKAŃSKIEGO DZIENNIKARSTWA

Jeśli czytelnik chce odważnie brnąć przez namiętnie złośliwe, ironiczne i lekceważące Polaków osądy—a kto wie, czy taka bolesna chłosta nie jest bardziej pouczająca i zmuszająca do zastanowień, niż ukłony i pochlebstwa—temu radzę przeczytać książkę P. Louisa Fischera,* która na kanwie wspomnień osobistych, haftuje żywy, nerwowy obraz wielkiego "*armistice*" pomiędzy pierwszą i drugą wojną światową. Autor, z pochodzenia Amerykanin, jeden z asów dziennikarskich Ameryki, od r. 1921 do 1940 przewędrował w pogoni za sensacją dziennikarską wiele stolic Europy, kolegował z wielkimi reporterami, otarł się o wszystkich wybitniejszych ludzi świata. Żywy pamiętnik, jaki z tej wędrówki urósł, był niestety jedną z lepszych i bardziej poczytnych książek roku 1941.

Piszę "niestety," gdyż rozsiane w książce opinie o Polsce i Polakach tym większą przyniosą nam szkodę, że są podane obok wiadomości trafnych, wnikliwych i ciekawie reżyserowanych. Omal wszystkie poważniejsze pisma poświęciły książce obszerne recenzje, a zbyt dzieła jest we wszystkich krajach anglo-saskich rekordowy. Istotnie książkę czyta się jak powieść detektywistyczną, osnutą wokół ministerstw zagranicznych i ośrodków decyzji o losach świata. Styl żywy i lapidarny, charakteryzowanie postaci kilkoma kreskami znakomite. Autor mówi: "Zawsze patrzyłem na sprawy międzynarodowe, jak na ogromny dramat," jakoż pełno w książce scen o dramatycznym, lub komediowym napięciu, jak np. rozmowa z Oumanskym, ambasadorem Rosji, jadącym do Stanów /str. 597/ czy wywiad z Beckiem /str. 276/.

Mniej rozważny czytelnik angielski napewno nabędzie zaufania do sądu autora, głównie z powodu jego odwagi cywilnej i niezależnego zdania. Autor jest coprawda komunistą zagorzałym, w słowie i w czynie, bo szereg miesięcy walczył w czerwonym legionie międzynarodowym w Hiszpanii, nie mniej jego opinia o Rosji i Stalinie jest ostra i zdecydowanie ujemna, co wprowadza w poważny kłopot recenzentów lewicowych, jak np. P. Kingsley Martina, wydawcę "*The New Statesman and Nation,*" *który osobiście trudził* się obszernym omawianiem książki przyjaciela /Nr. 566/.

Pełno w książce zręcznych, iskrzących się humorem zwrotów, jak np.:

"*Nie ma sensu skarżyć się przed kimś, kto się z nami zgadza,*"

co mogliby uważnie przetrawić nasi propagandziści; lub gdy mówi o upadku Francji:

"*wszystko zależy od tego, kto rządzi demokracją, czy istotnie naród, czy też wodzowie, których nieraz z trudem można odróżnić od wroga narodowego.*"

Ten typowy talent dziennikarski zawodzi jednak zupełnie, gdy próbuje pogłębienia zjawisk, szczegółowego rozważenia zdarzeń lub ogólnych poglądów na ruchy masowe. Zawód wynika z braku wykształcenia historycznego i socjologicznego, co daje osądy nieraz z gruntu fałszywe, a jak ma miejsce w sprawie polskiej—obelżywe, niesprawiedliwe i krzywdzące.

PRZEZ NIEMIECKIE OKULARY

Do Polski Fischer przyjechał w r. 1920. Polska w oczach Amerykanina, karmionego strawą propagandy niemieckiej przedstawiała się jako kraj wstecznictwa. W rozdziale drugim zatytułowanym "Dumni Polacy" zgromadził wszystkie plotki i oszczerstwa, jakie kuła kuźnia niemiecka przez dziesiątki lat. Oto ważniejsze myśli autora:

"*Polska była dzieckiem zwycięstwa sojuszników w* 1918 *r.*" Obejmowała 18,000,000 Polaków, i 8 milionów mniejszości. "*Lecz tych 8 milionów widocznie nie wystarczało. Marszałek Piłsudski szukał wokół, gdzieby zdobyć więcej kłopotów. Mimo, że kraj był w strasznej nędzy i zrujnowany przemarszami wojsk, Piłsudski z fantastycznym ryzykiem i w pogoni za potęgą i sławą, wybrał ten moment do zaatakowania bolszewików. Uważano go za geniusza. Polacy mówili, że był obłąkany i dotknięty syfilisem, lecz do śmierci słuchano jego rozkazów.*"

Kwestia wileńska, przedstawiona jest jako farsa, odegrana przez Żeligowskiego. "Bystremu" autorowi podczas pobytu w Wilnie

"*nie wiele zabrało czasu, by widzieć, że Wilno nie było ani litewskie, ani polskie, lecz żydowskie.*" Na plebiscyt przyjechało 11 korespondentów zagranicznych. "*Byliśmy fetowani co wieczór przez wydział prasowy rządu. Wino płynęło strumieniami, a kiedy już swój skutek osiągało, wznoszono toasty.*"

Na plebiscyt wywieziono ich z Wilna daleko do jakiejś wioski, gdzie wyreżyserowano komedię głosowania. Wściekli, że ich tak "*wykiwano*" zakosztowali wieczorem nowych objawów gościnności polskiej. Zaproszono ich na bal.

"*Zebrana była tam podupadła arystokracja polska, małpując to, co wielu z nich zapamiętało z Paryża i Petersburga; panie z lorgnonami—jakże wiele krótkowzrocznych kobiet—treny, mufki futrzane i stroje zapewne z przed wojny, oficerowie w wysokich butach skórzanych, z ostrogami, i w czamarach, zarzuconych tak, że jeden rękaw bujał się pusty z tyłu. Oficerowie trzaskali obcasami, całowali ręce, flirtowali, kłaniali się poważnie, z pełnym szykiem wojskowym salutując starszych posesjonatów.*"

Autor przez trzy tygodnie zwiedzał miasta i wsie polskie.

"*Chodziłem*" — pisze — "*godzinami po ulicach, obserwując twarze ludzi, studiując ceny i gatunki towarów, rodzaje książek, zaglądając do okien domów, oglądając kościoły.*"

Na temat naszej sytuacji politycznej mówi:

"*Polskę wtłoczono między dwie potęgi. Darowano jej terytoria, które kiedyś należały do obu sąsiadów. Od nich zależała jej pomyślność i bezpieczeństwo. A Polska zwalczała obie strony . . . Polscy bandyci pod wodzą Korfantego i z pomocą rządu polskiego walczyli przeciw niemieckim oddziałom ochotniczym. Francja i Anglia dały Polsce lwią część Górnego Śląska. Patrioci niemieccy nigdy tego nie zapomnieli.*"

Konflikty Polski z Litwą, Rosją i Niemcami, zdaniem autora,

"*niepotrzebne i szkodliwe, wyrosły z polskich złudzeń wielkości /grandeur/. Polacy uważali się za mocarstwo. Nie można jednak być potęgą, gdy więcej, niż połowa z 27 milionów mieszkańców żyje w chałupach słomą krytych, o ścianach z błota i podłogach z brudu.*"

Kraj był zacofany gospodarczo, bez kolei i portu morskiego, metody rolnicze przed-napoleońskie.

"*Naród skłócony, kulturalnie zacofany, źle odziany i bez pieniędzy. System polityczny starał się odsuwać najzdolniejszych obywateli, Niemców i Żydów od odpowiedzialnych stanowisk urzędowych. Wyrzucanie Żydów z pędzących pociągów i obrywanie bród były uznanymi formami gimnastyki polskiej.*"

Polska nie mogła wybrnąć sama z chaosu, a Europa jej też w tym nie pomogła.

"*Próżność narodowa Polaków była odwrotnie proporcjonalna do ich zdolności rządzenia się.*"

RIPOSTA ANGIELKI

Na ten fałszywy, szydzący rozdział zareagowała ostro w "*Time and Tide*" /Nr. 3, vol. 23 z 17.I./ znakomita powieściopisarka angielska p. Rebecca West. Oto jej słowa:

"*Odkrycie, że Polska jest biedna, gdy jej ubóstwo przed rokiem 1914 było europejskim skandalem, jest nie tylko szyderstwem, ale i ślepotą, gdyż autor "oskarża" o to Polaków, chociaż fakt, że Habsburgowie i Romanowowie mogliby ponosić za ten stan współodpowiedzialność jakoś nie przyszedł na myśl namiętnemu oskarżycielowi tyranii. Nigdy nie pomyślał, że Polska, sztucznie zdławiona przez zaborców w rozwoju w XVIII wieku, wynurzy się wyzwolona w w. XX z osiemnastowieczną ideologią. Nie przejrzał, że zapamiętałe użeranie się o korzystniejsze granice wynikało ze zdrowego instynktu zabezpieczenia spokoju, któryby umożliwił niezależny byt narodowy i rozwój nowych idei.*

Co jest zjawiskiem bardzo alarmującym, to zasadnicza arbitralność osądu p. Fischera. Oskarża Polskę. Nie piętnuje poszczególnych posunięć polskich; wielu z nas poczuwało się nieraz do tego przez ostatnie 25 trudnych lat. To o Polsce całej mówi autor z nienawiścią i pogardą. Na jakich sprawdzianach historycznych oparta jest ta krytyka? Czy mamy przykład państwa, któreby rodziło się w podobnie ciężkich próbach w stanie żywotnej wydajności i pogodnego liberalizmu?"

BLIŻEJ PASZKWILU NIŻ REPORTAŻU

Wiele można by dodać argumentów obronnych. Niech wystarczy stwierdzenie, że zapewne Goebbels bardziej nikczemnej napaści na Polaków napisać by nie umiał. Jak ten niby fanatyczny wielbiciel wolności nie jest w stanie dojrzeć w naszej rozpaczliwej od dwustu lat trwającej walce o wolność rysów bohaterstwa i wielkości moralnej, pozostanie tajemnicą jego uczuciowych nastawień.

Jest rzeczą zdumiewającą, że autor również w późniejszych ujęciach nie widzi rzetelnego wysiłku nad odbudową i nadal ma dla nas tylko złośliwe uwagi ironiczne.

Roztrząsając przemówienie Kwiatkowskiego w sejmie tak ocenia naszą sytuację w r. 1935:

"*10 milionów osób tkwiło całkowicie poza granicami życia gospodarczego. Nie kupowali nic i nie sprzedawali. Niepokoje chłopskie stały się chorobą chroniczną. Antysemityzm rósł. Piłsudski zmarł i Polacy odczuwali jego stratę. Marszałek Rydz-Śmigły nosił jego płaszcz, lecz był on za obszerny na niego. Polską politykę zagraniczną odzwierciedlał charakter Becka: Czysty oportunizm. Polska w mej opinii prowadziła wątpliwą dyplomatyczną grę, opartą na idei, że wojna jest nieunikniona, ale być może uda się na niej coś zarobić. W rezultacie "zarobiono": czwarty rozbiór, śmierć, zniszczenie i okrutne cierpienia spadły na poczciwych rolników i lud pracujący, który nigdy nie widział Becka, Rydza ani myśliwskich pałacyków Wołynia. Żyd, konduktor tramwajowy, czy kupczyk warszawski—byli lepszymi Polakami i wartościowszymi obywatelami, niż Rydz.*"

Bardzo sugestywnie oddany jest nastrój "przejść" monachijskich, które grzebały wolność Czechosłowacji, a jak się później okazało i Polski. Na szczególną naszą uwagę zasługuje taki ustęp:

"*7 września "Times" zażądał od Czechów oddania Sudetów Hitlerowi. Później zaprzeczono, jakoby stanowisko redakcji odzwierciedlało poglądy rządu brytyjskiego. Każdy poważny człowiek w Anglii, Niemczech, Francji i Czechosłowacji wierzył jednak, że tak jest. Monachium wykazało, że tak było. Zaprzeczenie tylko potwierdziło ogólne przekonanie.*"

Udział Polski w tragedii czechosłowackiej oceniony jest oczywiście przez autora bardzo ujemnie. Podkreśla on, że przed upadkiem Czechosłowacji były wszelkie szanse zwycięstwa sojuszników, tak wojskowe, jak polityczne i moralne.

"*Monachium zdemoralizowało Francję i popchnęło ją w defetyzm. Małe narody straciły zaufanie w stałość i odwagę mocarstw zachodnich. Gdyby demokracje siłą sprzeciwiły się wiwisekcji na Czechosłowacji, można z całą pewnością twierdzić, że Polska, która tak ochoczo poszła na wojnę z Niemcami we wrześniu r. 1939 przyłączyłaby się i wówczas do koalicji antynazistowskiej. Nie dlatego, że przywódcy polscy byli wszyscy anty-nazistami. Wprost przeciwnie. Lecz Warszawa zawsze uważała Niemcy za głównego wroga i zawsze wskazywała, że stanęłaby po stronie Anglii i Francji, jeśli wystąpią one przeciw Niemcom. Widząc ugłaskiwanie Niemców, słaba Polska w głupi, lecz wybaczalny sposób posłuszna Hitlerowi, połknęła haczyk i odcięła sobie kawałek Czechosłowacji, w ten sposób wydała na siebie wyrok. Gdyby Polska nawet nie walczyła po stronie sojuszników w r. 1938 łatwo by ją Rosja utrzymała w neutralności. Najprawdopodobniej także Rumunia a nawet Jugosławia przyłączyłyby się do sojuszników.*"

NASZE STANOWISKO

Podaliśmy tu tylko najważniejsze ustępy dotyczące Polski. Wobec książki tej tak szkodliwej dla urabiania się opinii o Polsce w krajach anglo-saskich zająć można różne stanowiska. Najłatwiej wzruszyć ramionami i "wytłumaczyć" napastliwość autora jego żydowskim pochodzeniem i skrajnie lewicową orientacją.

To jednak do niczego nie prowadzi. Konieczny jest bardziej żywy i istotny stosunek. Spokojne i rzeczowe protesty w listach do prasy choć są konieczne, mogą trafić tylko do nielicznych czytelników książki. Autorem należało by się "zająć." Jest on młody /43 lata/, uważany jest za doskonałego dziennikarza i może niejedną jeszcze pracę w świat puścić, czy nie lepiej więc wziąć go pod obstrzał cierpliwej, uprzejmej i stanowczej informacji, co więcej nam przyniesie być może korzyści, niż wymyślanie. Tak np. wyobrażam sobie, że nasza informacja, powołując się na zdanie książki "bandyci pod wodzą Korfantego" może posłać autorowi książkę "*Drama of Upper Silesia*" /Dramat Górnego Śląska/ Kanadyjczyka, prof. Rose'a, lub doskonałą broszurę "*Upper Silesia: a Country of Contrasts*" /Górny Śląsk — kraj przeciwieństw/ napisaną przez J. Weinsteina, który dowodami fotograficznymi wykazuje, że właśnie "bandytami" byli niewinni "ochotnicy" niemieccy. A może darować mu "Czarną Księgę" z krótkim listem, że w podobny sposób niszczono nas od wieków, że równie straszne były lata okupacji 1914-1920, tylko niestety nie było wówczas "Czarnej Księgi" którąby p. Fischer przed przyjazdem do Polski mógł przejrzeć i zorientować się o rozmiarach krzywd poniesionych przez Polaków.

Krótko po wojnie światowej wielki przyjaciel Polski, prof. Sarolea pisał o "tajemniczym sprzysiężeniu przeciw Polsce, które nie dopuszcza do głosu prawdy" i zdaje się, że dopiero chwila obecna jest taką okazją przerwania anty-polskiej koalicji prasowej. Książka powinna pobudzić do myślenia naszych techników od informacji i spraw zagranicznych. Wiele bowiem przykrych uwag na temat żałosnych chwytów naszej z gruntu anty-psychologicznej propagandy jest niestety bolesną prawdą.

Książka w tym rodzaju może przynieść nam pod jednym względem wyraźną korzyść. Wytrąci niejednego z błogiego przeświadczenia, że opinia o Polakach w krajach anglo-saskich została przekonana o słuszności naszej sprawy. Książka otrzeźwia i budzi czujność. Każe śmiało pójść naprzeciw odkrywającym się źródłom nagonki, zrodzonej z nienawiści, czy mylnej informacji i walczyć z nimi jedyną bronią—słuszności i prawdy.

ANTONI MAMROT

* Louis Fischer "Men and Politics," J. Cape, London, 1941, 18 sh., str. 639.

Generał Giraud

Komunikat radiowy przyniósł 25.IV.br. wiadomość o ucieczce francuskiego generała Giraud z niewoli niemieckiej. Niemcy wyznaczyli nagrodę 100,000 marek temu, kto go odnajdzie. Jest to druga ucieczka tego dzielnego żołnierza. Pierwsza udała się pomyślnie w roku 1914.

Dzieje tej ucieczki słyszałem z ust samego generała w roku 1930, na ruinach fortu Chemin des Dames, podczas jednej z podróży szkolnych *Ecole de Guerre.* Fort ten odebrał Niemcom baon dowodzony przez majora Giraud. Opis tej akcji był dla nas zatym podwójnie interesujący. Opowiadanie rozbudziło wojenne wspomnienia profesora—wówczas pułkownika Giraud. Ktoś poprosił by opowiedział historię swej ucieczki z niewoli.

—"Nic szczególnego — rozpoczyna pułkownik. Zostałem ranny w pierwszej bitwie, jaką moja kompania stoczyła w Ardenach. Straciłem przytomność, by ją odzyskać w chwili, gdy mnie opatrywali sanitariusze niemieccy.

Zawieziono mnie do szpitala w Belgii. Gdy siły poczęły wracać postanowiłem uciec. Belgijscy patrioci dostarczyli mi, po kawałku, całe cywilne ubranie, a nawet broń—nóż kuchenny. Przygotowali też plan ucieczki.

Pierwszą trudność stanowiła obecność niemieckiego posterunku z bagnetem na broni w drzwiach naszej sali. Obserwując uważnie wartowników stwierdziłem, że jeden z nich lubi na posterunku drzemać, oparty o framugę. Wybrałem noc, kiedy był na służbie. Uzbrojony w mój nóż, zdecydowałem się przejść, gdy zdawał się drzemać. Jeśli drgnie—zginie. Miał szczęście.

Zostałem pracownikiem wędrownego cyrku, spodziewając się dobrnąć z nim w pobliże granicy holenderskiej. Po krótkim czasie musiałem jednak mój cyrk porzucić. Zakochała się we mnie córka dyrektora i chciała bym się koniecznie żenił. Byłem potem roznosicielem węgla po domach, co przy otwartej jeszcze ranie, nie było łatwym zajęciem.

Znowu przy pomocy Belgów udało mi się przejść strzeżoną przez Niemców granicę holenderską. W Hadze ostatnia trudność. Woźni nie chcą puścić mnie do francuskiego konsulatu. Nie mogą uwierzyć bym istotnie był kapitanem. Niemal siłą dostałem się przed oblicze konsula. Przez Londyn wróciłem do Paryża a stamtąd do pułku. To wszystko."

Lata powojenne spędził już pułkownik Giraud w Afryce Północnej biorąc udział w licznych działaniach przeciw Arabom.

Gdy bezpośrednio po powrocie do Francji objął katedrę piechoty w *Ecole de Guerre,* przedmiot ten stał się bardzo interesującym źródłem niespodzianek dla uczniów. Nawet my Polacy, przyzwyczajeni w naszej W.S.Woj. do śmiałych decyzji, często nie mogliśmy się zdobyć na tak nieoczekiwane zwroty i manewry francuskimi pułkami piechoty. Profesor artylerii, późniejszy gen. de la Porte du Theuil, łamał ręce; jego protesty przeciw rozwiązaniom oficjalnym doprowadzały jednak tylko do ostrych starć w obecności nas, elewów.

Pułk. Giraud był w *Ecole de Guerre* jednym z nielicznych profesorów, dla których myśl wojskowa niefrancuska była też warta zastanowienia. Podczas jednego z wykładów, omawiając jakie skutki na psychikę żołnierza wywiera długi odwrót i jak to trzeba przełamać, odczytał nam parę cytatów z książki gen. Sikorskiego: "Nad Wisłą i Wkrą," właśnie wydanej po francusku.

W roku 1930 pułk. Giraud wysłany został znowu do Afryki.

Spotkałem go powtórnie w roku 1936 na manewrach w Szampanii, jako generała dywizji i dowódcę korpusu. Słyszałem go wydającego rozkazy. Dumny byłem z mego profesora. Sam ton i sposób rozkazywania, przy jego pięknej sylwetce, świadczył, że należy do typu dowódców z urodzenia.

Wielu oficerów francuskich już wtedy widziało w nim następcę gen. Gamelin. W maju 1940 czytam, że obejmuje armię po gen. Corap. Wierzę, że jego energia i inicjatywa może mieć zbawienny wpływ na dalszy przebieg operacyj na tym najważniejszym odcinku frontu.

Po paru dniach słyszę w komunikacie niemieckim takie opowiadanie: "Zajmujemy miasto X, m.p. dowództwa armii. Bierzemy do niewoli cały sztab. Co za pech, dowodzący generał, właśnie odwołany, wyjechał. Lecz po chwili prawdziwa radość. Nadjeżdża jego następca—generał Giraud."

Od Francuzów słyszałem inną wersję. Gen. Giraud miał dostać się do niewoli, gdy w czołgu objeżdżał swe jeszcze walczące korpusy.

W niewoli niemieckiej odmówił złożenia obietnicy, że nie będzie brał udziału w dalszej wojnie przeciw Niemcom. Za tę cenę mógł był wrócić do Francji. Wybrał inną drogę, godną majora z pod Chemin de Dames. Oby zaprowadziła go znowu, jak w czasie tamtej wojny, do szeregów walczących przeciw Niemcom, aż do zwycięstwa.

GUSTAW ŁOWCZOWSKI

Co myśli Amerykanin o wojnie i pokoju

PYTANIE JUŻ NIEAKTUALNE I CIĄGLE AKTUALNE

W czasie trzy-miesięcznego pobytu w Ameryce starałem się zaznajomić z poglądami obywatela amerykańskiego na sprawy wojny i zagadnienia powojennej Europy. Obawiam się, że ziemia szlachetnego Waszyngtona nie gościła dotychczas podobnie natrętnego gościa. Zamęczałem pytaniami polityków i ekonomistów, profesorów, dziennikarzy, przemysłowców, przywódców Zw. Zaw. i robotników. Przy każdej sposobności stawiałem otwarcie lub zręcznie podsuwane zawsze jedno pytanie: *"czy Ameryka weźmie udział w wojnie?"** Czy Ameryka pomoże po wojnie do odbudowy zniszczonych przez Niemców krajów? I czy Ameryka będzie współdziałać w takim zorganizowaniu politycznym i gospodarczym Europy, by Niemcy nie mogły wywołać już tak łatwo nowej wojny?

Na pytania te starałem się otrzymać odpowiedź nie tylko w prywatnych rozmowach, ale i w zbiorowej reakcji uczestników zgromadzeń. A miałem zaszczyt przemawiania na wielu zgromadzeniach. Na konferencjach dziennikarzy, na ogólnym Kongresie C.I.O. i na konferencjach Stanowych tej potężnej pięciomilionowej organizacji zawodowej robotników amerykańskich. Przemawiałem również na konferencjach delegatów amerykańskiej Federacji Pracy, drugiej, równie potężnej organizacji zawodowej robotników i na posiedzeniach zarządów nie tylko potężnego liczbą członków, ale i potężnego znaczeniem Związku robotników budowy wszelkiego rodzaju motorów od samochodów aż do czołgów i samolotów włącznie, oraz na szeregu zebrań innych Związków Zawodowych.

Mówiłem wszędzie nie tylko o potwornościach wojny, o straszliwych metodach prześladowań podbitych przez Niemcy narodów, o bohaterstwie ludów miłujących wolność w walce z tyranią, ale wszędzie rzucałem natarczywie pytanie: Co Ameryka zamierza uczynić w obliczu tego śmiertelnego pojedynku ludów miłujących wolność z tyranią hitleryzmu? Spotykałem się wszędzie, w prywatnych rozmowach i na wielkich zgromadzeniach z objawami powszechnego głębokiego współczucia Amerykanów dla wszystkich dręczonych przez najeźdźcę ludów, a szczególnie z serdecznymi objawami głębokiej sympatii dla Polski i jej bohaterskiego ludu.

Na kongresie C.I.O. przeżyłem głęboko wzruszającą chwilę. Gdy stanąłem na trybunie, aby złożyć delegatom Kongresu i amerykańskim robotnikom pozdrowienia od robotników polskich i krajów okupowanych przez Niemcy, którzy prześladowani i mordowani nie wyrzekają się walki o Wolność, uczestnicy Kongresu powstali odruchowo z miejsc, aby w długiej i serdecznej manifestacji wyrazić współczucie dla prześladowanych i hołd walczącym. Była to nie tylko głęboko wzruszająca, ale wzniosła chwila, kiedy ludzkie myśli i uczucia dochodzą do głosu poprzez serca, chwila szlachetnego porywu masy, owego wielkiego porywu, z którego już nie raz rodziły się wielkie czyny i brały początek nowe epoki w historii ludzkości.

EUROPA WIDZIANA OD STRONY AMERYKI

Społeczeństwo amerykańskie, a zwłaszcza amerykańskie masy robotnicze, same głęboko przywiązane do swobód obywatelskich reagują wyjątkowo czule przeciw wszelkiej tyranii. Jestem przekonany, że w Ameryce każda chociażby najłagodniejsza forma ustroju antydemokratycznego nie jest do pomyślenia. To też Amerykanie nie mogą po prostu pojąć jak się to dzieje, że niektóre narody w Europie pogodziły się z panowaniem dyktatorów i tyranią klik dyktatorskich.

Obywatel Ameryki patrzy na Europę jako na bardzo odległą i egzotyczną część świata i w dodatku świata pokratkowanego jak szachownica nadmierną ilością granic małych państw, zamieszkałych przez skłócone narody, które urządzają sobie wzajemnie co pewien okres rzeź wojenną. Do chwili wybuchu wojny z Japonią ogromna większość amerykańskiego społeczeństwa odnosiła się do Europy i jej spraw z dużą niechęcią. Do myśli zaangażowania się w wojnie odnosili się Amerykanie do chwili wybuchu wojny z Japonią z obawą i zdecydowanie wrogo.

Amerykanie nie interesują się zbytnio historią narodów Europy. Stosunkowo najwięcej uwagi poświęcają Niemcom. Uważa się tam powszechnie Niemców za naród przedsiębiorczy, pracowity i o dużych zdolnościach organizacyjnych. Amerykanin potępia zaborczość i brutalność Niemców i ubolewa nad tym, że prowokują oni ciągle wojny. Przyznaje jednak, że nawet wojny umieją dobrze przygotować i umiejętnie prowadzić. Drugim z rzędu narodem, którym interesują się Amerykanie stosunkowo dużo, to Anglicy, a następnie Francuzi.

Anglicy byli do wybuchu wojny z Japonią, najmniej, jak to często stwierdzałem, popularni wśród Amerykanów. Zdanie, że Anglicy chcieliby wygrać wojnę kosztem innych narodów i że pragną, aby Ameryka nie tylko wojnę finansowała, ale by się biła o interesy Anglii, słyszało się zbyt często. O Francuzach wyrażają się Amerykanie z dużym sentymentem, ale jako o byłym wielkim narodzie. Był to, mówią, naród wielkich wodzów, bitnych żołnierzy, genialnych myślicieli i wspaniałych rewolucji, zapładniających myśli ludzkości i dzieje narodów nowymi wielkimi ideami i ideałami. Dziś jednak Francja weszła w okres zmierzchu swej dotychczasowej roli w Europie. Dowodem tego jest także łatwe pobicie jej przez Niemcy.

Reszta narodów Europy dla przeciętnego obywatela amerykańskiego, to narody małe, biedne, nieszczęśliwe ofiary, skazane na zależność od potężnych Niemiec lub Rosji. Do takich pojęć o narodach Europy i urabiania nieprzychylnej opinii o Anglikach przyczynia się bardzo znacznie propaganda niemiecka.

WPŁYWY WROGIEJ PROPAGANDY

Nie mam tu na myśli krzykliwej, antydemokratycznej propagandy Goebbelsa. Ta propaganda byłaby tutaj dla Niemiec szkodliwa. Szkodliwa tym więcej, że Amerykanie odnoszą się do wszelkiej urzędowej propagandy ze zdecydowaną nieufnością. Działa tu natomiast propaganda inna: niemiecka, demokratyczna, wolnościowa, dozująca umiejętnie i subtelnie opinii publicznej ujemne wyobrażenie o Anglii, o Francji i rzekomych krzywdach niemieckich w traktacie wersalskim, oraz niskim stopniu cywilizacji i niezdolności do samodzielnego bytu narodów mniejszych w Europie.

Tej bardzo niebezpiecznej propagandzie nie przeciwstawiają ani Anglicy ani Francuzi, ani inne narody poważnej pracy informacyjnej, którąby podawaniem faktów zaznajamiała Amerykanów z prawdziwym cywilizacyjnym obliczem Niemiec, z ogromem ich zbrodni na innych narodach, zaznajamiała społeczeństwo amerykańskie z historią i cywilizacją narodów w środkowo-wschodniej Europie, które rzekomo niezdolne do samodzielnego bytu winny się pogodzić z przykrym, lecz nieuchronnym losem niewolników niemieckich.

Jeden z wybitnych, znających doskonale stosunki europejskie, dziennikarzy amerykańskich powiedział mi z ubolewaniem:

—Wy Europejczycy, mało robicie, a jeżeli robicie coś, to źle, dla uświadomienia Amerykanów o tym, jak wielkim niebezpieczeństwem są Niemcy dla Europy, a także i Ameryki. Wskutek tego właśnie większość Amerykanów ma fałszywe wyobrażenie o Niemcach, o przyczynach wojny, zbrodniach Niemców i w ogóle o stosunkach w Europie. Większość Amerykanów rozumuje bowiem tak: — ciągnął ów dziennikarz—Ameryka wzięła udział w poprzedniej wojnie. Pomogła do wyzwolenia narodowego szeregu państw. Jaki z tego rezultat?—Nowa wojna. Czy i teraz Ameryka ma wziąć udział w wojnie, aby następnie za kilka dziesiątków lat mieć nową wojnę w Europie? Ameryka nie może przecież utrzymywać w Europie stale jakiejś siły militarnej, którąby pilnowała pokoju i bezpieczeństwa narodów słabszych przed napaścią silniejszych.

Atak Japonii na Amerykę zmienił napewno wiele w poglądach i nastrojach amerykańskiego społeczeństwa. Ale do tego czasu tylko część amerykańskiej opinii rozumiała i podzielała całkowicie dalekowzroczną politykę swego wielkiego, opatrznościowego, nie tylko dla swego kraju, ale całego świata, prezydenta Roosevelta.

TRZEBA DĄŻYĆ DO ZMIANY OPINII AMERYKAŃSKIEJ

Jeżeli jednak większość Amerykanów tak ocenia sprawy europejskie, to nie oznacza jeszcze, że nie jest skłonna do zmiany swych poglądów pod wpływem faktów i argumentów. Amerykanie posiadają bowiem poza wieloma i tę wyjątkową cenną zaletę, że nie są uparci i apodyktyczni w swych sądach. Lubią dociekać prawdy. A prawda rozstrzyga bezapelacyjnie o ich ostatecznych sądach i ustosunkowaniu się do ludzi, zagadnień i rzeczy.

Wystarczy ich tylko przekonać, że narody zamieszkujące Europę między Niemcami a Rosją są pracowite, miłujące pokój, mają nie tylko prawo do własnego niepodległego bytu, ale mogą sobie zapewnić niepodległość własnymi siłami przed niemiecką zaborczością. Że narody te czerpiąc naukę z bolesnych doświadczeń mogą utworzyć związek polityczny i gospodarczy, że połączone we wspólnym związku Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Grecja, Rumunia, Węgry i Litwa—to siła gospodarczo-polityczna, a jak zajdzie potrzeba, i militarna, stukilkudziesięciu milionów pracowitej i dzielnej ludności, przeciwstawiona 80 milionom Niemców. Że Rządy tych narodów znajdujące się poza zasięgiem tyrańskiej władzy Niemiec pracują już obecnie nad utworzeniem takiego związku. Że o utworzenie takiego związku walczą nie tylko Polacy, Czechosłowacy, Jugosłowianie i Grecy, tam pod straszliwą okupacją niemieckich katów, gdzie dążenie do wolności jest największą zbrodnią, ale i ludy Rumunii, Węgier i Litwy, wydane przez swe rządy na pastwę hitlerowskiej tyranii pragną wielkiego porozumienia. Że powstanie takiego Związku Ludów w środkowo-wschodniej Europie na zasadach: Wolni z Wolnymi i Równi z Równymi—zapewni nie tylko dobrobyt i wolność tym ludom, ale i uwolni Europę od dotychczasowej przewagi Niemiec i przyczyni się do zapewnienia pokoju całemu Światu.

Przekonałem się wielokrotnie jak chętnie zmieniają Amerykanie ujemne i wysoce niesłuszne sądy o narodzie angielskim, gdy się im mówi, jak lud angielski pracuje, walczy i jakie ponosi ofiary w obronie nie tylko własnej, ale całego świata wolności. Trzeba im tylko wykazać na przykładach i faktach, jak to Anglia osamotniona po klęsce Francji zatrzymała u brzegów swej wyspy zwycięski pochód olbrzymiej potęgi militarnej Niemiec. Prawda, że Anglia nie była przygotowana do wojny. Ale czy inne narody nie popełniły tego samego błędu? Czy nie popełniły go w czasie dwuletniego trwania wojny i Stany Zjednoczone? Nie trudno przecież udowodnić obecnie, że gdyby Niemcy zajęli bohaterską wyspę brytyjską, tę jedyną dziś redutę wolności w Europie, to Stany Zjednoczone miałyby dziś marynarkę niemiecką, powiększoną o zdobyte na Anglii i innych narodach marynarki u swoich brzegów, lotnictwo niemieckie nad swoimi miastami, a z wojskiem niemieckim musiałyby walczyć może już na własnej ziemi.

Trzeba i musimy to mówić wytrwale i uparcie Amerykanom, jak to w owych najczarniejszych dniach wojny, kiedy niemieckie dywizje pancerne stanęły u brzegu kanału La Manche, a niemiecka Luftwaffe waliła w gruzy miasta Wielkiej Brytanii, bohatersko walczyli brytyjscy, a obok nich i polscy lotnicy, marynarze, żołnierze. Jak mężnie umierali nie tylko w obronie wolności Wielkiej Brytanii i Europy, ale i w obronie Ameryki.

Gdy się Amerykanie dowiedzą, jak wśród piekła bombardowań lud brytyjski pracował, aby armia otrzymała armaty i czołgi, lotnicy bombowce i pościgowce, marynarze—okręty, jak przez wiele miesięcy oczekując w nocy na śmierć pod gruzami burzonych przez niemieckie bomby domów, stawał w dzień do ciężkiej i wyczerpującej pracy w fabrykach broni—uchylą tak samo z szacunkiem czoła przed tym dzielnym ludem, jak my to czynimy, którzyśmy na jego bohaterską determinację nie tylko patrzyli, ale mieli zaszczyt przeżywać wspólnie piekło owych ponurych dni i nocy.

TRZEBA MÓWIĆ PRAWDĘ O TOTALIŹMIE

Wreszcie trzeba ludowi amerykańskiemu uprzytomnić istotę hitlerowskiej i faszystowskiej wojny totalnej. Jakie są ostateczne cele tej wojny i co czeka świat cały, gdyby Hitler i jego satelici zwyciężyli w Europie. Trzeba wytłumaczyć, że hitleryzm, faszyzm to nie tylko wojna totalna, ale totalna władza, potwornie tyrańska, nad ludźmi, ziemią i wodami całego świata: że zwycięski hitleryzm i faszyzm—to jeden wielki obóz koncentracyjny ludów na całym świecie pod władzą katów, rozbudowaneej do potwornych rozmiarów gestapo.

Amerykański obywatel, uczony, pracownik umysłowy, a szczególnie robotnik, musi się dowiedzieć, że przed Niemcami którzyby odnieśli pełne zwycięstwo w Europie, Ameryka nie obroniłaby swej wolności. Że nie ci służą dobrze Ameryce, co twierdzą, że wojna obecna jest wewnętrzną sprawą Europy, ale że mają rację i dobrze służą swoim narodom i wolności świata wielki szlachetny reformator Prezydent Roosevelt i niezłomny Churchill, gdy mówią, że wolność wszystkich narodów jest zagrożona i że wszystkie narody solidarnie są zobowiązane do jej obrony.

A jeżeli są jeszcze tacy ludzie, którzy wierzą zapewnieniom Niemców, że nie mają oni zamiaru walczyć z Ameryką, lecz chcą zrobić tylko porządek w Europie, to są to ludzie najniebezpieczniejsi dla sprawy wolności. Tym ludziom trzeba wytłumaczyć, że Niemcy tylko tymczasem posłali do zaatakowania Ameryki swego pomocnika—Japonię, że gdyby się im udało pokonać w Europie Anglię i Rosję, ich siły zbrojne zjawiłyby się u brzegów Stanów Zjednoczonych. Jakżeż bardzo pomylił się były prez. Hoover, udawadniając Amerykanom na kilka zaledwie tygodni przed atakiem Japonii, że Ameryce nie grozi niebezpieczeństwo wojny, bo ją dzieli od Europy nieprzekraczalna dla napastnika przestrzeń wód oceanu.

Ale gdybyśmy przyjęli nawet tak absurdalnie niewiarygodne zapewnienia niemieckiej propagandy, że Niemcy chcą tylko w Europie wyrąbać niemieckim mieczem nowy ład, a do spraw Ameryki nie zamierzają się mieszać, to i wówczas sytuacja Ameryki przedstawiałaby się fatalnie. Gdyby się Niemcom rzeczywiście udało ten swój nowy ład wyrąbać niemieckim mieczem w Europie, wówczas może nie marynarka wojenna i pancerne dywizje zjawiłyby się pierwsze u brzegów, a bombowce nad miastami Ameryki, ale wszelkiego rodzaju towary, produkowane z surowców Europy i Rosji rękami nędznie płatnych setek milionów niewolników podbitych narodów.

TRZEBA AMERYKĘ POZYSKAĆ DLA IDEI JEDNOŚCI ŚWIATA

Amerykanie umieją rozumować wyjątkowo dobrze kategoriami gospodarczymi. Niechże sobie więc wyobrażą potężne imperium Niemiec na przestrzeni Europy i Rosji, z jego surowcami, przemysłem i niewolniczą pracą, lawinę tanich towarów produkowanych rękami głodzonych nędzarzy, rzuconych nie tylko na wszystkie rynki świata, ale i na rynek wewnętrzny Ameryki. Czy Ameryka mogłaby się ze swoimi stosunkowo wysokimi zarobkami, ze swoją wysoką stopą życiową przeciwstawić w walce konkurencyjnej niemieckiej inwazji towarowej, nie tylko na rynkach świata, ale i na swoim własnym rynku wewnętrznym? Dumpingu pracy niewolniczej milionów niewolników, rabowanych surowców, przemysłu i żywności podbitym narodom, nie wytrzymałaby żadna gospodarka, a tym mniej gospodarka Ameryki. Dumni ze swej wolności, rozwiniętej gospodarki i wysokiej stopy życiowej, Amerykanie, chcąc się przeciwstawić inwazji taniej niemieckiej produkcji towarowej, musieliby się pogodzić z warunkami bytu jakie podyktowałyby zwycięskie Niemcy podbitym narodom, lub zdecydować się na wojnę na warunkach prawie beznadziejnych z potęgą niemiecką władającą Europą i Rosją.

Wśród wszystkich fałszywych doktryn politycznych, najfałszywszą, najzgubniejsza w skutkach okazała się doktryna tak zwanego izolacjonizmu, czy neutralizmu. Gdyby narody nie tylko Europy, ale i Ameryka zamiast się łudzić naiwną wiarą, że unikaniem walki z hitleryzmem i faszyzmem uratują swoją wolność, były zdusiły wspólnymi siłami narastające do rozmiarów zbrodni światowej siły zła,—świat byłby uniknął straszliwych ofiar wojny, jakie teraz w obronie wolności ponieść musi.

Dziś więc najlepszą polityką jest uświadomienie sobie, że wszystkie ludy w Ameryce i Europie, miłujące wolność nie mają innej drogi do wyboru, prócz drogi jedynej, godnej zaszczytnej nazwy wolnego człowieka—pobicie Niemiec i ich satelitów. Tylko przez klęskę Niemiec wiedzie droga do wolności i dobrobytu wszystkich narodów, w Europie i w Ameryce. Tylko przez wytępienie zbrodniczych doktryn hitleryzmu i faszyzmu zapewnimy światu trwały pokój, a narodom i ludziom wolność i dobrobyt.

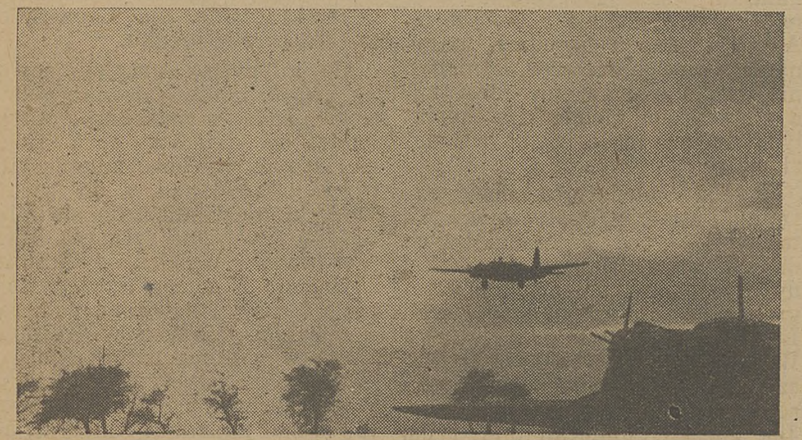
JAN STAŃCZYK

* Autor artykułu — minister Opieki Społecznej R.P. — odbył podróż do Ameryki tuż przed napaścią Japonii.

Polskie Dywizjony Bombowe w Wielkiej Brytanii obchodzą święto walki



Tak się "karmi" bombowce przed lotem nad Niemcy: bomby podwozi się na wózkach i podwiesza się w wyrzutniach



Lot próbny przed startem nocnym

Wicher z niebywałą siłą wymiatał z betonowych nawierzchni i rozległych pól lotniska najdrobniejszy nawet pyłek, ciskając w oczy tumany kurzu. Cudownie błękitne niebo i wiosenna pozłota słońca zdawały się zaprzeczać zimnu przenikającemu aż do wewnątrz człowieka. Jasnozieloną płaszczyznę pól lotniska znaczyły gdzie niegdzie porozstawiane ciemne plamy maszyn bojowych, które zdawały się wypoczywać po wczorajszym ciężkim i długim locie.

Staliśmy przed hangarem napróżno usiłując schronić się przed co raz to nadlatującą nową falą wichury. Obok mnie, w niebieskim lotniczym mundurze sierżant z odznaką pilota.

—"A to cholera wiatr zaiwania. Człowiek sobie gotów domrozić te resztki, nieprzeziębionych jeszcze dotychczas podczas lotów nerek" —zwrócił się do mnie.—"Tylko jak się leci to wiadomo przynajmniej poco. a tu tak, bez potrzeby człowiek sterczy na wygwizdowie. Wejdźmy lepiej do hangaru"—zaproponował.

—"Obiecał mi pan opowiedzieć o dzisiejszym locie. Jak tam poszło? Chwała Bogu wrócili wszyscy. Słyszałem, że to był dwudziesty drugi lot bojowy pana sierżanta . . ."

—"Dobry lot. Takich tylko więcej. Robiliśmy cośmy tylko chcieli. Ale opowiadać . . . Jak tu opowiadać. Już łatwiej list napisać do sweethearta: I love you darling, kisses i już. Ja nie umiem



Sprawdzanie silnika samolotu przed lotem

opowiadać . . . Bo i cóż tu opowiadać. Ot, polecieliśmy, wróciliśmy —co w tym ciekawego?

Przed odlotem, zwyczajnie, było wesoło, jak to zawsze. Rolujemy maszyny. Obserwator podał kurs i walimy. Dolecieliśmy do morza spokojnie. Nad morzem więcej pracy. Trzeba ciągle zmieniać kursy, żeby się nie napatoczyć na myśliwca.

To jednak był spokojny, dobry lot. Oho, nie tak jak nad zagłębie Ruhry. Tam to przypominam było piekiełko. Szwaby tam się mocno bronią, żeby ich szlag trafił. Tam baterii ciężkiej artylerii tyle co barów w Londynie. Reflektory łapią ze wszystkich stron.



Załoga wchodzi do bombowca, przygotowanego na lot bojowy

Jak ciężka artyleria zacznie grzać to tylko czuj duch człowieku. Drobne szczeniaki walą na różnokolorowo świetlne pociski a ciężka bez żadnego błysku, tylko się po niebie rozchodzi czarna plama jak z wylanego atramentu—dym— wstrząs, jakby kto pchnął ze wszystkich sił maszyną. I już-już człowiek myśli, że po wszystkim a to tymczasem jeszcze widać nie było pisane. Czasem to nawet podziurawią a szkody nie zrobią.

Jakeśmy ostatnio byli nad Ruhrą przywiozłem dwadzieścia dziur w maszynie od tych odłamków pocisków szwabskiej artylerii. Złapali nas wówczas w snop reflektorów i trzymali przeszło pół godziny i grzali a grzali. Muszę sie przyznać, że miałem wówczas porządnego pietra. Mój "Wellington" zmienił się w "Spitfire'a," takie mówię panu wykręcałem na nim akrobacje. Ale wróciliśmy szczęśliwie a to grunt.

Zato nad Lubeką to była naprawdę satysfakcja. Dobra robota, tak przepisowo. Najpierw poszła fala z kruszącymi, potem druga fala z zapalającymi bombami, a później, to już tylko wymiataliśmy resztki tego, co jeszcze stało tam, gdzie było miasto i port."

—"Jakto? Wymiatali panowie?"—przerwałem.

—"A tak. Trzecia fala zrzucała takie ładuneczki po parę tysięcy funtów pigułka, że jak pisali Niemcy Szkopom poukrywanym w piwnicach i schronach od samego podmuchu żebra i obojczyki pękały . . .

Nad Rostockiem było jednak najlepiej. Zaskoczenie kompletne. Szwaby wiali pewnie do schronów nie zdążywszy naciągnąć portek. Dzisiejszej nocy, kiedy już drugi raz z kolei poleciałem nad Rostock, już o sto dwadzieścia mil od celu widzieliśmy ognie pożaru. Lecieliśmy wówczas nad morzem. A u nas jest już taki zwyczaj, że jak lecimy nad tym naszym morzem zawsze przesyłamy pozdrowienie: Czołem—mówimy—jeszcze będziemy się kąpać i wygrzewać na naszych plażach.

Wiec walimy wprost, jak powiedziałem, na wyraźny z daleka cel. Nad miastem obserwator naprowadza powoli, spokojnie gdzie trzeba. Kilka uników, żeby uciec reflektorom, zorientowaliśmy się w świetle pożaru i po rozstawieniu baterii dział przeciwlotniczych w terenie—no i wreszcie ulżyło . . . Ulżyło maszynie po zrzuceniu ładunku bomb a i nam, załodze ulżyło. Zawsze, mówię panu, to taka przyjemna chwila, kiedy już bomby wyrzucone.

Miasto paliło się "cacy-lala." Mieli tam Szkopy za swoje. Pozostawało nam teraz już tylko wracać. Zdawało by się komu, że jak już bomby zrzucone i wraca się do domu to koniec pracy i niebezpieczeństw. Otóż nie. Powrócić do bazy—to nie takie łatwe jakby się zdawało. Taki szmat drogi. Trzeba minąć szczęśliwie dalsze, porozmieszczane po drodze pozycje artylerii niemieckiej. A nocni myśliwcy to niby pies?

Mamy my co prawda na nich też swoje sposoby, ale zawsze to walka ciężkiego bombowca ze zwinnym myśliwcem niezbyt równa. A później, nad morzem trzeba się wystrzegać statków i okrętów przeciwlotniczych. Zaczai ci się taka cholera, bierze na podsłuch i raptem jak nie wygarnie do nieprzygotowanego na atak samolotu. Tak można wylądować na mokro, w morzu, zamiast na swoim lotnisku . . . A tu jeszcze choroba przyplącze się jakaś wichura, burza. Albo oblodzenie samolotu. Albo nawet i swoi dobrze nie zidentyfikują i grzeją bracie do ciebie jak do Szkopa!

Z nad Rostocka udało nam się prawdziwie. Wszyscyśmy wrócili, tylko dwóch było rannych i to lekko. Aleśmy już z góry wiedzieli, jeszcze przed lotem, że tym razem nam się poszczęści. Przecież był to nasz lot rocznicowy, w rocznicę pierwszego lotu bojowego naszych dwóch dywizjonów.

Zmęczony jestem trochę, bo to już druga noc z rzędu po osiem godzin lotu . . ."

—"Czemu pan nie pójdzie przynajmniej się wyspać, panie sierżancie?" — spytałem mego rozmówcę.



Podwieszanie bomb—praca żmudna i precyzyjna

—"Ee, jeszcze poczekam. Niby te nasze dzisiejsze uroczystości" —tłumaczył się niewyraźnie . . .

Dopiero w parę godzin potem przekonałem się czemu nie poszedł wypocząć. Gdy Wódz Naczelny po nabożeństwie polowym dekorował bohaterskich lotników krzyżami "Virtuti Militari"—w rzędzie wywołanych do odznaczenia lotników stał wyprężony na baczność sierżant-pilot, jubilat dwudziestego drugiego lotu nad Niemcy, jeden z tych, którzy, jak to powiedział w swej mowie do lotników Generał Sikorski "mają prawo nazywać się drogimi, bardzo drogimi dziećmi Polski."

BOLESŁAW K. PIEKARSKI

Zdjęcia reprodukowane na tych stronach zostały dostarczone przez obsługę fotograficzną Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, Czołówkę Fotograficzną Polskich Sił Powietrznych i p. Jerzego Miłosza.

Bombowiec uszkodzony w akcji bojowej w noc przed świętem. Mimo uszkodzenia podwozia i otrzymanych ran pilot wylądował szczęśliwie, choć—"na brzuchu"



DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 2[illegible].IV—30.IV.1942

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 13	Ilość wypraw: 12	Łączną ilość samolotów: 128
	Główne cele: Dunkierka, Kolonia, fabryki pod Paryżem, Rostock	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 30.IV.1942.		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 449	Łączna ilość samolotów: 2486	

Polskie Lotnictwo Myśliwskie przeprowadziło w tym okresie głównie zadania wymiatania lub osłony wypraw bombowych na różne obiekty o znaczeniu wojskowym w Północnej Francji.

Polscy myśliwcy nocni zwalczali niemieckie wyprawy bombowe na miasta angielskie i zapisali na swoje konto zestrzelenia i uszkodzenia maszyn niemieckich.

Lotnictwo bombowe atakowało z powodzeniem różne obiekty wojskowe zarówno w Niemczech jak i w krajach okupowanych. Duża działalność niemieckiego nocnego lotnictwa myśliwskiego, jak i silna obrona przeciwlotnicza nie przeszkodziły naszym bombowcom dotrzeć do celu.

W czasie jednej z wypraw bombowych strzelec tylny bombowca polskiego zestrzelił Me-109.

PIOSENKA DLA R.A.F.-u

"Deutschland, Deutschland über Alles . . ."



Wczoraj—nuta pruskiej buty.
Dzisiaj—nasz bojowy śpiew:
Deutschland, Deutschland über Alles—
über Deutschland R.A.F.

Ognia piekło leci z nieba,
Praży ziemię aż do trzew!
Deutschland, Deutschland über Alles—
über Deutschland R.A.F.

Z nieba Mane Tekel Fares!
Nad Lubeką—nieba gniew!
Deutschland, Deutschland über Alles—
über Deutschland R.A.F.

Herrenvolk przykucnął w schronie,
Grom w Kolonię! Gruz i krew!
Deutschland, Deutschland—niebo płonie—
über Deutschland R.A.F.

Gdzie jest Ruhra? Lej i dziura!
Kupa zgliszcz, rozbity chlew—
Deutschland, Deutschland—śmierć ponura—
über Deutschland R.A.F.

Gdzie jest Brema? Była—nie ma!
Rostock? Stos płonących drew!
Deutschland, Deutschland über Alles
über Deutschland R.A.F.!

Panie Hitler, panie Goering—
A więc jednak to nie bluff?
Deutschland, Deutschland über Alles?
über Deutschland R.A.F.!

Za Warszawę! Londyn! Belgrad!
Nasze żniwo—wasz był siew.
Deutschland, Deutschland über Alles!
über Deutschland R.A.F.!!

MARIAN HEMAR



Poczet sztandarowy

Anglia jest jednym wielkim lotniskiem. Takie było pierwsze nasze wrażenie z przejazdu do bazy operacyjnej polskich dywizjonów bombowych. Przy drodze, nieraz tuż obok, czasami trochę dalej, a czasami ledwo widoczne na horyzoncie—lotniska. Niektóre zupełnie nowe, jeszcze świeże. Parę budynków—namioty i dopiero budujące się ogrodzenia. Na krańcach lotnisk maszyny. Wielkie, na czarno pomalowane dwu- i czteromotorowe bombowce. To samo w powietrzu nad naszymi głowami. Dosłownie bez przerwy unoszą się te olbrzymy, czasami po kilkanaście naraz. I dopiero teraz przy takim pogodnym dniu, kiedy loty ćwiczebne prowadzone są bez przerwy przez 24 godziny na dobę, widzi się naprawdę, jak szybko rozbudowuje się lotnictwo brytyjskie.

Wrażenie ogólne to: pełno maszyn na każdym lotnisku i przeważnie maszyny nowych typów, dużo amerykańskich. Jest to niezbity dowód, że niebo nad Wielką Brytanią jest nie tylko błękitne, ale że jest ono naprawdę—brytyjskie. Jednocześnie jest to też zapowiedzią tego, na co czekają miliony uciśnionych w Europie i czego pragną, aby jak najprędzej to niebo brytyjskie objęło swym zasięgiem całą Europę.

I przypomniałem sobie teraz, że 10 czerwca 1940 roku Niemcy rzucali nad polską brygadą motorową we Francji takie ulotki:

"Popatrzcie w górę na potężne eskadry Luftwaffe. Niemieckie jest niebo nad wami i nad całą Europą— złóżcie broń! Walczycie nadaremnie . . ."

Poza ginącym w lekkiej wieczornej mgle horyzontem lotniska, zachodziło już słońce, gdy Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych w otoczeniu gen. Kopańskiego, gen. Ujejskiego i brytyjskiego dowódcy grupy bombowej odbierał raport polskiej i angielskiej kompanii honorowej i salutował sztandar Polskiego Lotnictwa.

Po krótkiej chwili wszyscy obecni udali się do kasyna oficerskiego dla spożycia kolacji wraz z załogami, które jeszcze tej nocy miały odlecieć na lot operacyjny.

Patrząc na twarze tych młodych lotników, którzy siedząc przy wspólnym stole prowadzili najspokojniej w świecie swoje rozmowy, trudno było uwierzyć, że ci sami ludzie już za godzinę będą w powietrzu, a za kilka godzin . . . gdzieś tam nad Niemcami, te same oczy będą wypatrywały konturów fabryk, doków stoczni, zbiorników, i.t.p.

My właściwie w Anglii nie widzimy wojny. Chwilami jest tu aż przeraźliwie spokojnie. Zupełnie jakby pokój. A oni należą do tych, którzy nie tylko tę wojnę widzą, nie tylko biorą w niej udział, ale ją tworzą. Oni niosą co noc Niemcom "ciężkie argumenty," które tłumaczą całemu niemieckiemu narodowi co raz "jaśniej," co raz "mocniej" i co raz "głośniej" —że wojna z Polską nie jest skończona.

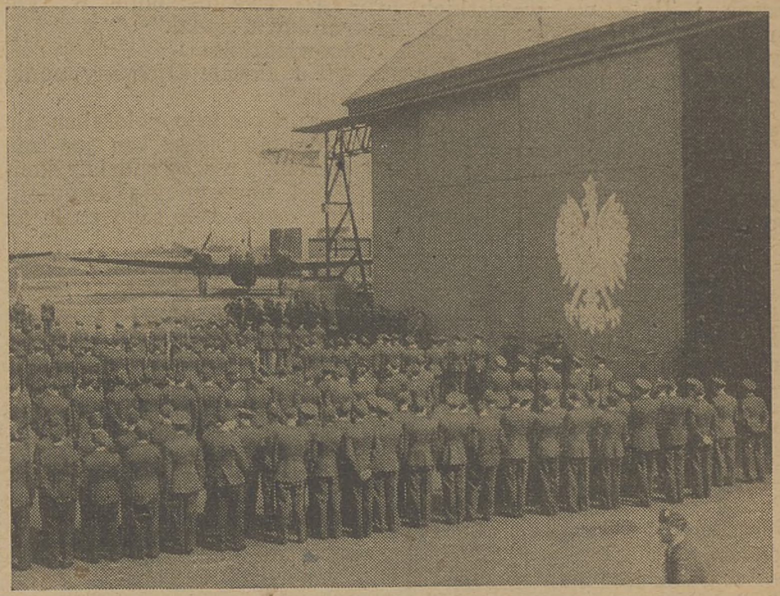
Gdy gen. Sikorski oglądał kilkutonową bombę, która miała właśnie wyruszyć do "miejsca przeznaczenia," żaden z mechaników nie zwracał uwagi ani na samolot ani na bombę, ani na lotników. Wszyscy patrzyli na twarz Naczelnego Wodza i każdy z nich jakby czekał co on powie. Nieomal że chcieli odgadnąć co myśli. A rzeczywiście było co oglądać. Takiej Niemcy nie rzucili na Polskę ani jednej—nie mieli.

Pilot, który miał za godzinę prowadzić maszynę z tą bombą, młody sierżant odznaczony Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych i D.F.M. zapewniał Naczelnego Wodza, że umieści ten ładunek jak najlepiej. I niewątpliwie to zrobi. Ma już przecież za sobą sporo doświadczenia: prawie 30 lotów bojowych. Dzisiaj w nocy leci ostatni raz jako sierżant. Jutro rano powróci z Niemiec /to jest wojna/ i o godz. 12-tej orkiestra Wojska Polskiego zagra Hymn Narodowy a Naczelny Wódz dokona jego promocji na podporucznika. Dokładnie w rocznicę tego dnia, kiedy odbył swój pierwszy lot bojowy nad Niemcy.

Chociaż księżyc co raz to chował się za chmury, to jednak noc nie była ciemna. Gen. Sikorski spędził kilka chwil w sali załóg, rozmawiał z lotnikami o ich zadaniach na noc dzisiejszą i oni opowiadali swe wrażenia ze swych ostatnich lotów.

Dekoracja krzyżem "Virtuti Militari"





Msza polowa obok hangaru

Nieczęsto pewnie bywa tyle osób obecnych przy odlocie, ile ich było tym razem. Oba dywizjony uczciły najwspanialej jak tylko mogły swoją własną rocznicę, swoje święto. Oto w wilię tego święta wszystkie załogi wystartowały do lotu operacyjnego nad Niemcy. Lotnicy tak rozumieją swoją służbę i taką powzięli decyzję—męską i piękną.

W czasie startu obecny był Naczelny Wódz wraz z całym otoczeniem oraz wszyscy majstrzy, technicy, lekarze, kucharze i personel ziemny lotnictwa, wszystko co żyło wyległo na start.

Co minutę zapalało się zielone światło startowe i kolejno co minutę szły maszyny w powietrze. Olbrzymie na czarno pomalowane, obciążone paliwem i ładunkiem bomb Wellingtony przechodziły przy ogłuszającym huku motorów tuż przed Naczelnym Wodzem, brały pełen gaz i znikały na horyzoncie. A potem, koło nad lotniskiem, kurs ze środka, zagaszenie wszystkich świateł i . . "w gościnę do sąsiadów." I tak kolejno: pierwszy, drugi, trzeci . . . dziesiąty, piętnasty, dwudziesty, aż do ostatniego.

My, którzy jesteśmy tu po raz pierwszy, patrzymy na każdą maszynę tak samo. Dla nas każda z nich, to polski bombowiec, w którym polska załoga niesie Niemcom "dokonanie sprawiedliwości za Polskę." Mechanicy, majstrzy, piloci, obserwatorzy i strzelcy nie biorący udziału w dzisiejszej wyprawie inaczej patrzą. Oni znają każdą z nich i każdego z załogi, która jest wewnątrz. Oni wiedzą, że w przedostatniej, siedzi ten, co będzie jutro promowany na podporucznika, a w ostatniej, komendant stacji Anglik, który tak się przejął świętem dywizjonu, że chociaż prawie nigdy nie lata, to jednak w tak uroczystej wyprawie postanowił wziąć udział razem z Polakami. Jest to jedyny Anglik, który dzisiaj leci.

Gen. Sikorski ma twarz poważną i skupioną. Śledzi wzrokiem każdą odlatującą maszynę. W słabym blasku świateł kierunkowych można dojrzeć na maszynach biało-czerwone szachownice: polskie znaki lotnicze.

Po raz pierwszy w historii Polskich Sił Zbrojnych Naczelny Wódz odebrał tak piękną defiladę.

Nazajutrz rano wszystkie załogi powróciły do bazy. Jedna z maszyn atakowana kilkakrotnie przez myśliwca nocnego miała dwóch rannych, a mechanizm podwozia uległ uszkodzeniu. Pomimo tego jednak, ranny w prawą rękę pilot przyprowadził maszynę i wylądował bez podwozia na samym środku lotniska. Naczelny Wódz udał się osobiście do izby chorych i odznaczył dzielnego pilota Krzyżem Walecznych.

O 11-ej rano odbyła się msza polowa, po której zakończeniu Naczelny Wódz dokonał dekoracji wielu lotników srebrnym Krzyżem Virtuti Militari. Przy czytaniu nazwisk często padały słowa:— "Nie powrócił z lotu bojowego."

Następnie gen. Kopański i gen. Ujejski w imieniu Naczelnego Wodza dekorowali około 120 lotników Krzyżem Walecznych. Oprócz tego kilkunastu majstrów i mechaników lotniczych otrzymało z rąk Naczelnego Wodza srebrne i brązowe Krzyże Zasługi. Po dekoracji orkiestra zagrała hymn narodowy, a młody sierżant /V.M., 4 K.W. i D.F.M./, który powrócił rano z nad Niemiec, został promowany przez Naczelnego Wodza do stopnia podporucznika.

W czasie defilady przy pięknym słońcu i lekkim wietrze szeregi lotników wydawały się jeszcze bardziej błękitne od koloru nieba i błękitnej barwy wielu wstążek Virtuti Militari. Na zakończenie uroczystości odbył się w jednym z hangarów obiad żołnierski, podczas którego przemawiali do lotników Naczelny Wódz i gen. Kopański.

Zwracając się do dywizjonów bombowych Naczelny Wódz podkreślił, że wysiłek, który ponoszą nie jest i nie będzie zmarnowany. Nawiązując do startu nocnego Naczelny Wódz powiedział: "Wczoraj odebrałem najpiękniejszą defiladę w moim życiu. Defiladę samolotów lecących na wroga nie dla



Promocja na podporucznika

zemsty, ale dla wymierzenia tak bardzo zasłużonej sprawiedliwości." Mówiąc o obecności w Anglii gen. Andersa i gen. Kopańskiego Generał Sikorski podkreślił, że jest to dowodem jedności Polskich Sił Zbrojnych na całym świecie. Przemówienie swe zakończył Naczelny Wódz słowami: "Wierząc w przyszłość Polski wzywam was wszystkich w imię ofiarnej waszej służby, abyście wznieśli okrzyk: Polska Wielka i Sprawiedliwa niech żyje!"

Po trzykrotnym powtórzeniu przez lotników wzniesionego przez Naczelnego Wodza okrzyku i po odegraniu polskiego i brytyjskiego hymnu przemówił gen. Kopański, który zaznaczył, że wszystkich nas żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych łączy ta sama cecha—chęć uczciwego spełnienia naszego twardego żołnierskiego obowiązku. W zakończeniu swego przemówienia gen. Kopański pozdrowił lotników w imieniu żołnierzy Brygady Karpackiej i powiedział, że walki lotnicze były natchnieniem dla tych, którzy bili się za Polskę na pustyni libijskiej.

Lotnicy zgotowali gorącą owację na cześć bohaterskich obrońców Tobruku i Dowódcy Brygady Karpackiej, a gdy Naczelny Wódz wsiadał do samochodu wznosili wielokrotne okrzyki niech żyje! i obsypali samochód dużą ilością kwiatów.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

Wspomnienia z Kampanii Norweskiej

V.*

Sztab i linia we wszystkich armiach były i są, jak dwaj kochający się małżonkowie, którzy bez siebie istnieć nie mogą, ale gdy są razem postępują w myśl przysłowia "kto się lubi, ten się czubi." Nie było inaczej także i u nas. To też, gdy ostatecznie zrozumiałem kto jest przede mną, skoczyłem do nich jak to się mówi "z pyskiem."

—"Nareszcie odezwaliście się."

—"Przyjechaliśmy do pana majora z rozkazu generała, aby dowiedzieć się o sytuacji na pańskim odcinku."

—"Nareszcie . . ."

—"Jaka więc jest sytuacja?"

Pokazałem ręką na śpiącą tyralierkę i powiedziałem:

—"Oto jest sytuacja własna."

—Potem wskazałem na wzgórze 295 i dodałem: "Tam są wysunięte oddziały."

—"A gdzie jest nieprzyjaciel?"

Dałem wyczerpującą odpowiedź.

—"A czemu pan major nie utrzymał kontaktu z cofającym się nieprzyjacielem?"

—"Wystarczy, że już od 24 godzin prowadzę wojnę na własną rękę. A zresztą trudno jest utrzymać kontakt z nieprzyjacielem, gdy żołnierze ponad 30 godzin nie mieli żadnego jedzenia."

—"Można było zabrać suchy prowiant . . ."

—"Suchy prowiant? Musiałem zabrać ze sobą cekaemy, moździerze, pociski do nich i 20,000 amunicji cekaemiarskiej."

—"Więc kiedy pan zacznie pościg?"

—"Jak przywiozą uzupełnienie amunicji."

—"Kiedy to może nastąpić?"

—"Za jedną lub dwie godziny."

—"Ma pan major jakieś życzenia?"

—"Proszę o rozkazy."

Jednak i tym razem jak dwaj wzorowi małżonkowie, którzy przemówili się przed rozłąką żegnają się tym bardziej czule, pożegnaliśmy się po przyjacielsku i serdecznie.

Ledwie zdążyłem zasnąć ponownie, znów szarpanie. Tym razem trząsł mną plutonowy z plutonu łączności.

—"Panie majorze, znaleźliśmy końcówkę linii telefonicznej do Brygady, może pan major pomówić."

Mowa tu była o końcu linii telefonicznej, która przed opuszczeniem wzgórza 295 przez naszych istniała między tym wzgórzem, a miejscowością Skjomnes. Aparat został zabrany przez telefonistów, zaś koniec linii schowany w krzaki. Niemcy szczęśliwie nie znaleźli tej linii podczas swego pobytu na wzgórzu. Obecnie wystarczyło tylko wmontować aparat i łączność ze sztabem Brygady była gotowa. Pobiegłem do aparatu, poprosiłem szefa sztabu i zawiadomiłem go, że wzgórze 295 zostało zdobyte i że mam zamiar posuwać się na Ankenes.

Szef sztabu powiedział mi, abym zaczekał, gdyż musi moje postanowienie przedstawić generałowi. Po chwili usłyszałem głos szefa sztabu:

—"Generał akceptuje pańskie postanowienie."

Nie zdążyłem odłożyć słuchawki, gdy odezwał się głos dowódcy Brygady.

—"Panie majorze działał pan trafnie i roztropnie, niech pan prowadzi swe działanie w tym samym duchu nadal."

Odpowiedziałem:

—"Ku chwale Ojczyzny panie generale."

Po tej rozmowie położyłem się znów do jamy, lecz sen już nie przychodził. Zresztą oddziały kończyły już uzupełnienie amunicji. Godzina rozpoczęcia schodzenia na Ankenes zbliżała się.

Telefon odezwał się znowu. Tym razem ten sam szef sztabu zaczął mnie besztać, że wystawiłem partackie ubezpieczenie, bowiem oto przed chwilą niemiecki sierżant-podchorąży, dotarł w pojedynkę niedostrzeżony przez nikogo, aż do samego sztabu Brygady w Skjomnes i tam po sztramacku trzaskając obcasami zameldował sie do niewoli. Gdy go zapytano dlaczego nie zgłosił się w oddziałach pierwszej linii, Niemiec powiedział, że bał się, bowiem w rozkazach niejednokrotnie czytano, że Polacy rozstrzeliwują Niemców /co było oczywistą bujdą/, więc wolał poszukać sztabu. Wytłumaczono mi więc, że przy takim ubezpieczeniu, skoro mógł przedostać się pojedyńczy Niemiec, mógłby również przedostać się większy oddział, a wtedy mogło by to mieć nieobliczalne następstwa. Obiecałem więc, że na przyszłość poprawię się i będę wystawiał lepsze ubezpieczenia.

Ruszyliśmy wkrótce na Ankenes i zajęliśmy bez strzału miejscowość, o którą toczyły się walki przez kilkanaście dni.

Gdy dochodziliśmy do m. Nyborg spotkaliśmy się z drugą kompanią IV batalionu kpt. K. i kompanią II batalionu kpt. S., które schodziły do tej miejscowości od strony grzbietu.

* * *

Na stokach grzbietu leżało kilka niemieckich trupów — widocznie Niemcy nie mieli czasu ich pochować. Przed samym Ankenes, na słupie telegraficznym była przymocowana tablica, zwrócona w stronę dawnych polskich stanowisk z następującym napisem:

"Polacy!

Od kiedy to Polacy są najemnikami Anglii? I Wy wierzycie obłudnej Anglii, która dba tylko o swoją kiesę?

Lepsza jest honorowa kapitulacja, niż wysługiwanie się angielskim kapitalistom. Sprawa Anglii nie jest Waszą sprawą.

Kraj potrzebuje Was i Waszych rąk. Droga do Warszawy jest dla Was otwarta.

Przychodźcie do naszych placówek bez broni, lub udawajcie się do pobliskiej Szwecji.

Strzelcy Górskie."

Miejscowość Ankenes była obrazem nędzy i rozpaczy. Nie było tam ani ludności norweskiej ani Niemców. Wszędzie panowała martwa cisza. Sporo domów było rozwalonych, sporo spalonych, jednak do tego rodzaju widoków człowiek już się przyzwyczaił.

Natomiast zobaczyłem nowy rodzaj zniszczenia. Drewniany, nieraz piętrowy dom zbudowany z dużych kloców silnie ze sobą powiązanych, zerwany z podmurowania siłą wybuchu pocisku, który eksplodował obok, leżał często w stanie prawie nieuszkodzonym o kilka metrów od fundamentu. Norwegowie widocznie tak silnie budowali swe sadyby, że chałupa wolała zeskoczyć z podmurowania, niż rozsypać się. Wnętrze takiego domu było widokiem godnym opisu. Meble rzucone siłą bezwładności w jeden kąt, tworzyły niesamowite piramidy, a ściany były wygięte w przeciwną stronę "skoku" budynku.

W ocalałych domach panował również niebywały chaos. Wnętrza szaf, skrzyń, i staroświeckich komód były powyrzucane na podłogę. Widać było, że szukano tu czegoś gwałtownie i brutalnie.

Nie wiem jednak, czy Niemcy znaleźli tam coś cennego, aby wysłać do domu, natomiast porzucili w Ankenes sporo. To co Niemcy porzucili i sposób, w jaki porzucili, świądczyło o straszliwej panice, jaka musiała zapanować wśród wojaków Hitlera w chwili opuszczenia tego miejsca. Na stołach leżały pistolety oficerskie, lornetki, aparaty fotograficzne, po kątach były porozrzucane tornistry żołnierzy i walizki oficerów, stosy broni, między innymi wspaniałe pistolety automatyczne, dalej aparaty telefoniczne, stosy korespondencji przybyłej z Niemiec i przygotowanej do odesłania, a co najważniejsza dużo tajnych meldunków, szkiców sytuacyjnych i pamiętników.

W niektórych domach na stołach były pozostawione posiłki i napełnione kawą kubki. Kasyno oficerskie było istnym składem puszek z konserwami, skondensowanym mlekiem, paczek ze świeżym chlebem witaminowym i dużą piwniczką luksusowych trunków. Oglądając to, przypomniałem sobie zabitego autora pamiętnika, który pisał, że sześć dni nie miał nic prócz chleba, ale zato wodę "miał na miejscu." U nas takiego łajdactwa nigdy nie było. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn żywność nie przyszła na czas, głodowali wszyscy bez wyjątku.

Z niemieckich pism służbowych dowiedziałem się, że umocniony rejon Ankenes był broniony siłami około jednego batalionu 139 pułku strzelców górskich, wspartego wielką ilością broni maszynowej i moździerzy. Na wzgórzu 295 była 61-ta kompania z II batalionu tego pułku pod dowództwem oberlejtenanta Obersteinera wzmocniona bronią maszynową z 7 i 9 kompanii.

Poza tym utrwaliło mi się w pamięci pismo komendanta garnizonu Narvik do niejakiego Kuntza; jednak kim był ów Kuntz i jaką rolę odegrał w obronie Ankenes zrekonstruować się nie dało, bowiem pismo zaczynało się, słowami: "*Mein lieber Kuntz,*" a w treści nigdzie nie było ani stopnia ani przydziału służbowego owego Kuntza. List ten, jak można było wywnioskować z jego treści był odpowiedzią na prośbę Kuntza o przysłanie posiłków. Komendant garnizonu pisał, że może wysłać tylko patrol minerski celem zaminowania wejść do Ankenes i jeden pluton oddziału szturmowego pod dowództwem lejtenanta Reschke. Dodawał, że pluton ten odznaczył się pod Westerplatte. Były to prawdopodobnie te posiłki, o których meldował porucznik M.

Nad to w tym samym piśmie komendant garnizonu niemal błagał Kuntza, aby wytrwał w obronie rejonu Ankenes jeszcze bodaj kilka dni, ponieważ jak pisał niebawem nadejdzie pomoc z południowego teatru działań, aby bronił się krótkimi przeciwuderzeniami, zapewniając, że jest to najlepszy środek przeciw natarczywości Polaków.

Poza tym znaleźliśmy skład sił nieprzyjaciela działającego w północnej Norwegii. /Treść jego zresztą była nam znana już poprzednio./ Według tego dokumentu siły Niemców składały się z następujących jednostek: cały 139 p. strzelców górskich oraz kilka batalionów sformowanych z załóg zatopionych okrętów wojennych i handlowych a także kilka kompanii ciężkiej broni maszynowej i moździerzy.

Uzupełnienia, a ostatnio poczta i żywność były dostarczane wyłącznie drogą powietrzną przy pomocy spadochronów. Dowódca całości generał porucznik Dietl, jak się okazało, usadowił się ze swym sztabem w miejscowości Björnefjell obok samej granicy norwesko-szwedzkiej.

Ze znalezionych szkiców można było wywnioskować, że lewoskrzydłowa kompania naszego II batalionu trafiła w przygotowany ogień 12 moździerzy, nic więc dziwnego, że poniosła tak duże straty.

Z pozostawionego przez Niemców materiału a przede wszystkim ze stanu i sposobu, w jakim to wszystko było pozostawione można było wyciągnąć jeden niezaprzeczalny i zasadniczy wniosek: Niemcy umieją uciekać w panice, porzucać broń, amunicję, pozostawiać niezniszczone fortyfikacje, pozostawiać tajne dokumenty, pisma i rozkazy. A więc Niemcy umieją nie wykonywać rozkazów swych przełożonych, potrafią załamywać się moralnie i przeistaczać się w uciekające w bezładzie gromady, robić zawody Hitlerowi i czmychać bliżej granicy mimo nadciągającej pomocy. /Zasadniczy bowiem zrąb ich armii działającej w Norwegii po opanowaniu Bodö i Mö był już na naszych tyłach w odległości niespełna 150 kilometrów i gdyby "narviccy Niemcy," wytrzymali jeszcze tydzień, załadowanie się na okręty byłoby niemożliwe i żadna żywa dusza aliancka nie wyjechałaby z Norwegii/.

Były to wnioski nader pocieszające w tych strasznych dniach wiosny i lata 1940 roku. Gdy po obronie Warszawy przez cały październik 39 r. przedzierałem się na Węgry w przebraniu żebraka i szedłem między tłumami bezdomnych i zrozpaczonych ludzi, wśród dymiących jeszcze zgliszcz i w milczeniu musiałem patrzeć na bestialstwa, zbrodnie i łajdactwa tych zwierząt stworzonych na obraz i podobieństwo człowieka— nie straciłem ani na chwilę wiary w ostateczne zwycięstwo, lecz to co widziałem w Ankenes umocniło mnie w tej wierze i nawet upadek Francji nie załamał we mnie tego przekonania.

Gdy po tragedii w Bretanii, która miała spotkać Brygadę Podhalańską w czerwcu 1940 roku, drugi raz także w łachmanach żebrąka mając w worku na plecach polski mundur, przedzierałem się przez Francję okupowaną do nieokupowanej i nieraz mijałem po drodze rozwalonych w autach, nadętych pychą Niemców—przyświecał mi ciągle obraz ich ucieczki w Ankenes. Ja, człowiek rozbity, znajdujący się na samym dnie nędzy ludzkiej w obcym kraju, przypatrywałem się tłustym pyskom i grubym czerwonym karkom Niemców z największym politowaniem. Wiedziałem bowiem, że Narvik był to tylko wstęp do tego co niebawem ma nastąpić.

* * *

Kocham las. Kocham nasze cudne polskie sosnowe bory, gdzie pachniało żywicą, gdzie słońce zabarwiało na czerwono trzony wysmukłych sosen, gdzie promienie przesiewające się przez ciemnozielone igliwie, tworzyły długie smugi, srebrzyły pajęczynę leśną i plamiły złoto ciemny aksamit mchu i popielatą zieleń paproci.

Kocham nasze tajemnicze, ciemne, wilgotne puszcze, gdzie bezszelestnie jak cień przeskakiwał z gałęzi na gałęź wspaniały żbik.

Kocham olbrzymie karpackie świerkowe lasy, w których pod próchniejącymi trzonami powalonych przez wiatr halny stuletnich olbrzymów, spokojnie drzemał pan lasu, brunatny niedźwiedź.

Pokochałem i te rzadkie, jasne, jak gdyby schorzałe lasy północy, gdzie wysmukła brzoza jest podobna do młodej, lecz nieuleczalnie chorej panny, czekającej na ostatnią wiosnę.

Pokochałem piękne dębowe i bukowe lasy centralnej Francji, chociażby za to, że w koszmarnym czerwcu i lipcu 1940 roku, nieraz były moim jedynym przytułkiem, gdzie z rozkoszą można było pod kilkusetletnim dębem położyć się na suchym mchu w chłodnawym cieniu i wyprostować zmęczone ciągłą podróżą ciało, odpocząć po spiekocie winnic.

Jednak, gdy oglądając Ankenes doszedłem do spalonej przystani promu, zdrętwiałem na widok lasu. Nie był to zwyczajny las. Wyrastał prosto z wody fiordu. Był to las stalowych, okopconych i pokaleczonych masztów wielkich okrętów morskich pochowanych pod powierzchnią wody. Z masztów żałośnie zwisały liny. Między masztami podobne z daleka do osmolonych pni drzewnych sterczały czarne pogięte kominy. Był to spory las, składający się bodaj z setki masztów i półsetki kominów rozrzuconych na przestrzeni między Fahernes, Narvikiem i Ankenes.

Całość robiła przygniatające wrażenie. Była to drobna część marynarki niemieckiej posłana przez Anglików na dno Morza Północnego i norweskich fiordów podczas pierwszej bitwy morskiej o Norwegię. Okręty te były po brzegi naładowane działami, czołgami, żywnością i diabli wiedzą czym jeszcze.

Na samym brzegu leżał bezwładnie olbrzymi podziurawiony wrak przewrócony kilem na bok i nieco do góry, śruby okrętowe i ster bezradnie sterczały do góry. Praktyczni Niemcy urządzili w tym wraku gniazdo dla cekaemów, które broniły dojścia do Ankenes od strony polskiej.

Cały brzeg był pokryty masą ubrania, ekwipunku, niemieckich książek, sprzętu i potworną ilością zepsutego prowiantu. W tej masie rupieci zauważyłem niemieckie galowe kurtki marynarzy z potrójnym rzędem guzików oraz oficerski surdut ze złotymi epoletami. Wszystko to było zmięszane z ropą i mazutem tworząc wespół z tym cennym dla Niemców produktem wstrętną cuchnącą galaretę.

Oto było uzupełnienie obrazu odwrotu nieprzyjaciela w kierunku szwedzkiej granicy.

ARNOLD JASKOWSKI

* Por. nr. 14-15, 16, 17 i 18. "Polski Walczącej" z b.r.

Dwie wizyty w Brygadzie Spadochronowej



Wicepremier Wielkiej Brytanii C. R. Attlee



Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Z.S.R.R., gen. Anders

Szkic sytuacyjny

OFENSYWA RAF'U

Bombardowanie przez lotnictwo brytyjskie Rzeszy i krajów okupowanych trwa nadal. Zarówno rozmiary tej ofensywy, jak i konsekwencja oraz upór z jakim Anglicy bombardują cele w Rzeszy, w Holandii i we Francji okupowanej, *budzić muszą szacunek.*

Ofensywa, ażeby była skuteczna, *musi być uporczywa, musi być ostra. Nie może się zrażać żadnymi stratami.* Miejmy nadzieję, że Anglików nie odstraszą straty. Przyznają się oni otwarcie do tych strat, które są duże, większe, aniżeli straty obecne ponoszone przez "Luftwaffe" w czasie ataków na Anglię, ale na to nie ma rady: *rzecz się opłaca. "Luftwaffe" traci 1 aparat na 13 ton zrzuconych bomb, RAF 1 maszynę na 30 ton bomb.* Poza tym RAF musi lecieć na znacznie większy dystans, musi forsować liczne zapory ognia, podczas gdy Luftwaffe działa na niewielką odległość, przez co ilość zapór ogniowych nie może być tak wielka, ani też ilość starć z pościgowcami nocnymi nie może być tak duża, albowiem przestrzeń wlotu aparatów niemieckich nie da się porównać z olbrzymią przestrzenią wlotu aparatów angielskich, które już do samego brzegu Francji czy Holandii trzymane są w ogniu *flak'u*, pościgu myśliwców nocnych i w sieci najbardziej skomplikowanego *barrage'u.*

Pomimo tych trudności i pomimo faktu, że obiekty fabryczne w Rzeszy są niezwykle starannie bronione i że zbliżenie się do nich nie jest łatwe—RAF bombarduje ostro. *Ofensywa ta daje już wyniki.* Ocenić je można nie tylko po zdjęciach lotniczych wykonanych przez samoloty wywiadowcze RAF, idące na Lubekę czy Rostock, ale i—*z wrzasku radia niemieckiego oraz prasy Trzeciej Rzeszy.*

LAMENT W NIEMCZECH

Pisma niemieckie udowadniają, że angielskie sposoby bombardowania są barbarzyńskie, że Anglicy niszczą domy mieszkalne i zabytki . . . Radio powiada, że RAF chce złamać moral Niemców, rzecznicy Reichswehry przemawiający przed mikrofonem albo piszący na łamach prasy *dają do poznania, że "Luftwaffe" gotowa jest przerwać* działania nad Bath czy Norwich czy Exeter, jeżeli RAF da spokój. *Ale RAF nie zamierza dawać pardonu.* P. Morrison, brytyjski minister spraw wewn. powiedział dobitnie, że *Anglicy będą dalej bombardować,* chociaż ludność cywilna będzie musiała cierpieć w samej W. Brytanii i chociaż wiele pomników kultury i zabytków architektury legnie w gruzach.

Niemieckie naloty, które Anglicy nazwali ze zwykłą sobie przytomnością i zdolnością do wynajdywania skrótów i nazw "nalotami z Baedekera," są atakami odwetowymi bardzo marnego rodzaju: istotnie, Niemcy chcą położyć w gruzy wszystko to, co jest w Anglii piękne, co jest czcigodne tradycją, wiekiem, co dla każdego Anglika posiada wartość uczuciową. Myślą, że w ten sposób złamią moral Anglików, podobnie jak jesienią 1940 r. łudzili się, że złamią go przez bombardowanie miast otwartych.

Ale jak jesienią 1940 ludność angielska wytrzymała "*blitz*" skierowany przeciwko domom mieszkalnym, tak wytrzyma obecnie ciosy zadawane architekturze i zabytkom. *Niemcy pomylą się raz jeszcze co do psychologii angielskiej.*

Lament zaś i krzyki podnoszone w Niemczech są najlepszym dowodem, że Niemcom *zalewają sadła za skórę.* Teraz dopiero kosztują oni "własnego lekarstwa," jak powiada przysłowie angielskie—teraz dopiero przekonują się, co znaczy bombardowanie. Dotychczasowe uderzenia angielskie były zbyt dorywcze, dzieliła je zbyt wielka przestrzeń czasu, ładunek bomb był *niewystarczający,* ażeby ogromny obszar Rzeszy odczuł te rzeczy naprawdę. Dopiero teraz, kiedy noc w noc uderza w Niemcy potężna armada aparatów ciężkiego typu, kiedy setki ton bomb lecą na miasta i na fabryki—teraz dopiero *mówić można o prawdziwym bombardowaniu Niemiec.*

Bombardowanie Niemiec musi być utrzymane na wielką skalę—albowiem *olbrzymi obiekt musi dostać największą porcję bomb i to stale.* Wtedy dopiero będzie można mówić o otworzeniu drugiego frontu, kiedy w Rzeszy wybije się *poważne dziury*—w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu—kiedy wyszczerbi się *przemysł, miasta, moral ludzki.*

NARADY W SALZBURGU

Hitler i Mussolini spotkali się w Salzburgu, ażeby wymienić poglądy na temat położenia. Wydaje się, że, jak zwykle w czasach ostatnich, dawny sojusznik a obecny *Gauleiter na Włochy*—Mussolini, otrzymał po prostu rozkazy i marszrutę. Rozkazy są proste a zdradził je p. Gayda, tuba Mussoliniego na łamach pisma "Giornale d'Italia."

A zatem: Włochy muszą posłać na front wschodni sporo żołnierza, natomiast Niemcy poszlą więcej żołnierzy *do Włoch* i zapewne do Libii. Poza tym pomoc marynarki niemieckiej na wodach Morza Śródziemnego musi być większa, jeżeli chodzi o okręty podwodne, jeżeli natomiast chodzi o jednostki nawodne, to wszystko wskazywałoby na to, że *Rzesza domaga się wyjścia floty włoskiej z kryjówek i brania większego udziału w walkach.* Obecność *jednostek amerykańskich na Morzu Śródziemnym* nie jest dla Włochów napewno rzeczą miłą, podobnie jak dla Francuzów—dla jednych i drugich *stanowi ostrzeżenie nielada.*

Hitler zapewno dał marszrutę i niebawem już się dowiemy gdzie spadnie uderzenie. Dnia 2 czerwca 1941 roku spotkali się dwaj dyktatorzy—jeden prawdziwy a drugi wydymany—i oto 22-ego czerwca runęli Niemcy na Rosję. Obecnie spotkali się—w jakże odmiennych warunkach i nastrojach—i pewnie uradzili: na Wschód czy na Zachód, na Rosję czy na Anglię czy na Środkowy Wschód.

Pogłoski są liczne. Powiadają one że n.p. Rommel ma objąć dowództwo armii, która uderzy na Kaukaz, że nastąpią poważne przesunięcia. Nie wiemy, ile w tym prawdy. Rommel do ostatniej chwili otrzymywał posiłki, ale się nie ruszał. Natomiast źródła włoskie alarmowały świat doniesieniami, że Anglicy przygotowują uderzenie w Libii.

WŁOSI W KIEPSKIEJ SKÓRZE

Nikt nie wątpi chyba, że Włosi nie czują się najlepiej. Nie tylko jest im głodno i chłodno, nie tylko brak im węgla—bo ten który przychodzi z Rzeszy nie może starczyć—nie tylko brak im ropy i benzyny, ale także brak im jest jedzenia, zapasów. Sam Ciano przyznał się w r. 1939. że Włochy liczyły, iż wojna wybuchnie dwa lub trzy lata później i że przez ten czas Włochy jakoś się zaopatrzą, że lotnictwo włoskie zostanie jakoś podciągnięte na wyższy poziom, że wyposaży się lepiej wojsko.

Ale rachuby te zawiodły. *Wojna wybuchła dla Włochów za wcześnie a skończy się—za późno.* Albowiem pismo wiedeńskie "Sued-Ost Echo" powiedziało niedawno w przystępie szczerości, jaka cechuje stosunki tych sojuszników—że "Włosi liczyli na szybkie zakończenie wojny i że dlatego nie posiadali zapasów." Oczywiście—ale teraz za późno je robić.

W tych warunkach we Włoszech rośnie niezadowolenie, defetyzm, obawa przed wojną, *bierność społeczeństwa.* Włochy stają się dla Niemiec prawdziwą kulą u nogi. Berlin obawia się, że cały front włoski trzaśnie i musi ten front "*podtrzymać.*" Nie da się tego zaś zrobić bez posłania większej ilości Gestapo do Włoch, bez *pochwycenia większej kontroli nad marynarką włoską.*

Niemcy *chcą wyzyskać Włochów do końca bez względu na to co się stanie.* Z uścisku niemieckiego Włochy się nie wydrą—*chyba że buntem.*

Naród włoski rozumie, że Niemcy chcą wyzyskać do ostatka włoskie resztki: marynarkę, wojsko. Nastroje buntu będą we Włoszech rosły. *Trzeba te nastroje wyzyskać.*

Pomóc w nich może tylko—*bombardowanie RAF'u.*

DECYZJA W MAJU

Maj będzie miesiącem, kiedy *lawina ruszy*—tak przynajmniej zdaje się wskazywać dzisiaj barometr. Niewiele tygodni może upłynąć od narady w Salzburgu, ażeby wyjaśniły się: Kierunek uderzenia i cele ataku.

Państwa osi nie mają wiele czasu. Hitler w swojej *ponurej dla narodu niemieckiego mowie w Reichstagu* powiada, że trzeba się przygotować na nową zimę, ale wie sam, że tego rodzaju obietnica nie jest zbytnio wesoła dla jego narodu, wypompowanego do ostatnich granic, narodu, któryby chciał jak najszybciej zacząć *spożywać owoce zwycięstwa.*

Państwa osi muszą zatem rzucić wszystko na szalę, ażeby sforsować zwycięstwo i—los w tym roku. Państwa sojusznicze muszą wszystko wytrzymać, ażeby przejść do działań zaczepnych w roku przyszłym. Wydaje się, że stworzenie *drugiego frontu* dzisiaj jeszcze nie dojrzało, że mogłoby przynieść wiele niespodzianek nienajmilszych i że trzeba się przygotować lepiej a przede wszystkim—*zebrać więcej ton żeglugi.*

Londyn, 3 maja 1942

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Nowości lotnicze

Motto: I uczynił Jozue jak mu rozkazał Pan: koniom ich /mieszkańcom Hasor/ żyły poderżnął, a wozy ich popalił ogniem.

I znalazł łaskę przed Panem.

Zabił też każdą duszę, która była w Hasor, ostrzem miecza mordując, tak iż nie zostało nic żywego, miasto zaś spalił ogniem . . .

I znalazł łaskę przed Panem.

/Jozue XI, 9, 11/

Dysputa w parlamencie brytyjskim na temat Lubeki, oraz zastrzeżenia wysuwane przez Mr. Rhys Davies, M.P., są bardzo charakterystyczne. Głos Mr. Davies—oby głos wołającego na puszczy—pomaga do uzmysłowienia sobie smutnej prawdy, że szczególnego rodzaju idealistom niesłychanie trudno pojąć właściwe znaczenie etyki i prawa. Napewno Mr. Davies uważa siebie za humanitarystę i napewno oburza się na "bezwzględność" Sir Archibald Sinclaira i będzie się oburzać na każdego, kto spróbuje mu wytłumaczyć, że jego humanitaryzm, miłość człowieka, ma tyle z humanitaryzmem wspólnego, co niektóre sekciarskie obrzędy tubylców na Martynice z religią katolicką.

Fałszywy humanitaryzm i jego etyka mają wszelkie cechy wspólne z etyką nienawiści, są to bowiem najbliżsi kuzyni w rzędzie zjawisk chorobowych. Pseudo-humanitaryzm i nienawiść wyrosły na jednym i tym samym chorobliwym podłożu braku autokrytycyzmu. Fałszywy humanitaryzm w równej mierze jak i nienawiść, opanowując człowieka stopniowo zabija wszelkie inne pobudki moralne, zacierając granice dobrego i złego.

Z punktu widzenia religijnego: pseudo-humanitaryzm jak i nienawiść stają się źródłem niebezpiecznych kompromisów z piekłem i pociągają w następstwie pobłażliwość dla wszelkiego grzechu.

Z punktu widzenia społecznego zarówno owa fałszywie rozumiana miłość człowieka, jak i nienawiść, defetyzm, wkraczają w anarchię, gdyż zaprzeczają przyrodzonym prawom człowieka do wymiaru sprawiedliwości: sądu, nagrody i kary, regulatorów współżycia jednostek i społeczeństw między sobą.

Dla pseudo-humanitarysty morderca, choćby recydywista, choćby matko-czy ojcobójca, *Lustmoerder,* czy inne półbydlę będzie tylko biedną ofiarą swych namiętności, dla wyznawcy nienawiści natomiast—pełnym cywilnej odwagi bojowcem indywidualnych potrzeb i idei, wojownikiem wolności. W następstwie zarówno pseudo-humanitarysta jak i ów zwolennik nienawiści będzie żądał dla każdego przestępcy praw szczególnych, albo dlatego, że jest "biedny" i grzeszy, a więc wymaga wyróżniającej opieki i specjalnej pobłażliwości, albo — dlatego, że bohater . . .

Pseudo-humanitaryzm uzewnętrznia się w rozmaity sposób: jedni bronią dobrych Niemców, drudzy łapią opuszczone koty po ulicach i stwarzają przytułki dla samotnych małp. Nie tak dawno zwróciła się do niżej podpisanego pewna czcigodna dama, z propozycją urządzenia szeregu odczytów o Polsce, na fundusz "*to help frozen horses in Russia.*" Była bardzo niezadowolona z kontrpropozycji, by raczej nie troszcząc się o konie w Rosji, gdyż o nie troszczą się wysokohumanitarni Rosjanie. pomyślała raczej o przytułku dla bezrobotnych Gestapowców po wojnie, najlepiej w Szkocji, ze względu na klimat.

Nienawiść i pseudo-humanitaryzm są niczym innym jak formą chorobliwej uczuciowości. "Mein Kampf" oraz wątpliwości Rhys Davies, M.P., z jednego pochodzą źródła.

Jako odtrutkę na sentymentalizm w Izbie Gmin, Brytyjskie Ministerstwo Informacji powinno rozpocząć propagandę dzieł Rudyarda Kiplinga, pisarza tak niepopularnego wśród młodego pokolenia brytyjskiego, jak również pism Starego i Nowego Testamentu, szczególnie zaś ksiąg Sędziów i obu królewskich, dalej Dziejów Apostolskich i listów św. Pawła do Rzymian. Nadto powinno w najbliższym czasie ogłosić konkurs z nagrodami za najtrafniejszą odpowiedź na pytanie: w represji za zniszczenie jakich miast Rzeszy Niemcy zbombardowali Warszawę, Rotterdam, Belgrad i—Londyn?

Dyskusja parlamentarna tegoż samego dnia, w którym padło historyczne pytanie Mr. Rhys Davies, M.P., poruszona została również sprawa Bath i Yorku. Nad kwestią tych dwóch miast zastanowić się należy. Jest to raczej sprawa pocieszająca niż smutna. Już kilkakrotnie w "Nowościach Lotniczych" podkreślaliśmy zagadnienie słabnięcia niemieckiej potęgi lotniczej. T.zw. represalia niemieckie przeprowadzone na obu miastach a prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości i na kilku innych są dowodem nie tylko zbrodniczego instynktu Niemców ale i niesłychanej słabości Luftwaffe.

Gdyby Niemcy wzamian za Lubekę czy Rostock mogli urządzić porządny raid w kilkaset maszyn na najbliżej położony a najłatwiej osiągalny cel: Londyn, zrobiliby to bez namysłu. Lecz nie mogą—w tym rzecz. Nie mogą, bo: a/ boją się odwetu na Berlinie, co przy słabnącym duchu ludności stołecznej byłoby bardzo niebezpieczne, b/ nie mają samolotów, c/ muszą bardzo oszczędzać to co mają, bo zachodni front jest dopiero w drugiej kolejce uzupełniania sprzętu. 25 maszyn nad Bath to jest coś, tym bardziej, że miasta historyczne nie mają ani ochrony balonowej, ani żadnej innej. Natomiast 25 maszyn nad Londynem z jego setkami myśliwców nocnych to efekt żaden, a ryzyko ogromne.

Gdyby dzisiaj opłaciło się posłać 1.000 maszyn na Berlin z tym, że Niemcy dowiedzą się iż za każde Bath i każdy York, Berlin oberwie jak Lubeka—głowę w zakład, że ani jedna maszyna nie pojawi się nad Anglią, byle tylko nie dać Anglikom powodu do odwetu. Jednak trzeba się mocno zastanowić czy się opłaci. Wrzask i biadanie Niemiec nad brutalnością Brytyjczyków, załamywanie rąk nad cierpieniem ludności cywilnej Lubeki i Rostocka, czy nad stratami w zabytkach historycznych nie jest dowodem miłosiernego serca Hitlera, Goeringa czy Goebbelsa. Los ludności jest im obojętny, los historycznych monumentów w zasadzie także: gdyby bowiem mieli miękkie i współczujące serce, litujące się nad niedolą ludności germańskiej, nie zmarnowali by 4 milionów zabitej młodzieży, nie licząc rannych i kalek. Gdyby zaś nawiązywali do dawnej tradycji Niemiec, toby nie podkreślali, że prawdziwa historia Niemiec zaczyna się od marca 1934 roku.

Sprawa leży w czym innym: bomby angielskie rzeczywiście sięgnęły serca Hitlera, Goeringa i Goebbelsa: musiały poważnie naruszyć potencjał wojenny Rzeszy i w tym rzecz.

Ministerstwo lotnictwa oświadczyło oficjalnie, że "taktyka lotnicza w stosunku do Niemiec nie ulegnie zmianie." Oświadczenie należy przyjąć z radością, lecz również z maleńkim zastrzeżeniem: zasada jak największej koncentracji nad jednym celem musi być stosowana z żelazną logiką. Z reguły należy uczyć się od nieprzyjaciela, wyciągać wnioski zarówno z jego błędów, jak i z jego dobrych pociągnięć. Organizacja ataków niemieckich jest zawsze celowa, w obecnym okresie unika umiejętnie zbytniego ryzyka załóg i maszyn /tych nigdy nie ma się za dużo/.

ADAM STERBAŁŁA

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,403

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I W SZKOCJI RODAKOM W ROSJI, ROK 1942

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam "Money Order" na kwotę £21 sh.0 d.6 zebraną na rzecz Polaków w Rosji od personelu stałego i uczni-pilotów kursu Nr. 26 Szkoły Pilotów w Carlisle.

Proszę uprzejmie o przekazanie jej na odpowiednie konto.

Z poważaniem
Polski Oficer Senior

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

—załączoną kwotę £2 sh.11 d.9 proszę przyjąć i przekazać na pomoc Polakom w Rosji, zamiast kwiatów i wieńca na grób śp. Adrzeja,—syna mjr. pil. Oleszkiewicza Jana.

Personel Techniczny
Maintenance Squadron'u
Polski Air Force—Hucknall, Notts.

Żołnierze Szkoły Pilotażu w Hucknall przekazują kwotę £4 sh.10 zebraną po przedstawieniu "Lwowskiej Fali," na pomoc dla Polaków w Rosji.

Pracownicy Biura Prop. i Ośw. M.S. Wojsk. przesyłają, stosownie do decyzji stałego, dobrowolnego, progresywnego opodatkowania na rzecz Polaków w Rosji £15 sh.1 d.9½ za miesiąc maj b.r.

* * *

£4—wpłacili na pomoc dla Polaków w Rosji, aby uczcić pamięć ś.p. Andrzeja Weissbrata, zmarłego w niemieckim obozie koncentracyjnym

Przyjaciele Zmarłego

* * *

Drogiemu Koledze Stachowi Wasiuczyńskiemu składamy w dniu imienin najserdeczniejsze życzenia przekazując zamiast upominku £1 sh.10 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koledzy
z "Lwowskiej Fali"

* * *

Nadto przekazali na ten cel: p. Michał Kwiatkowski, nieprzyjęte honorarium za artykuły w "Polsce Walczącej" £6; p. Antoni Mamrot nieprzyjęte honorarium za artykuł drukowany w "Polsce Walczącej" £1.10.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £56 sh.4 d.½ /słownie pięćdziesiąt sześć funtów, cztery szylingi, pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1403.14.11 /słownie tysiąc czterysta trzy funty, czternaście szylingów, jedenaście pensów/.

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam Panu Redaktorowi swoje uwagi w kwestii według mego zdania ważnej, a przez nasze władze wojskowe należycie nieocenianej.

Zarówno kraj, jak i mężczyźni na emigracji mają nam kobietom za złe: 1/ żeśmy kraj opuściły, a 2/ że nic nie robimy! Jak w pierwszym, tak i w drugim wypadku zarzuty są nieuzasadnione.

Nie naszą winą ni zasługą jest, że pewna grupa kobiet znalazła się tutaj. Przypomnieć sobie musimy, jak to w Polsce, w tym pamiętnym wrześniu wyglądało.

Mężowie, nie ubiegając się o to, otrzymywali rozkazy ewakuacyjne dla rodzin z zaznaczeniem, że pociąg gotowy czeka na dworcu x, odjeżdża o godzinie y. Dziesiątki pociągów oddano na usługi rodzin wojskowych, a niezliczone autobusy, obładowane kobietami, dziećmi i bagażami plątały się w kolumnach wojskowych. Ale czyż kobiety i dzieci są temu winne? Winien jest tu ten, komu powstał w głowie ten szalony plan ewakuacji.

Spotykamy się często z wyraźnymi objawami niechęci ze strony panów—samotnych. Dlaczego? . . .

Przecież w wielu wypadkach wasze żony, matki, siostry i dzieci znajdowały się również w pociągach ewakuacyjnych, też jechały, jak i inne w nieznane! . . . Czyż winą tych, które miały to szczęście, czy nieszczęście dowlec się do granicy przed jej zamknięciem i które dziś znalazły się tu—jest to, że inne nie dojechały, że jeden pociąg przejechał szczęśliwie, bez przygód, a inny był bombardowany, że przed jeszcze innym zamknęła drogę bomba, która rozerwała się na torze? . . . Tak zrządził los!

Nie każda z niewiast, która pozostała w Polsce, tego żałuje, nie każda kobieta, która jest tu, jest z tego zadowolona, napewno wiele przeklina chwilę, w której noga jej stanęła na obcej ziemi!

Drugi zarzut: nic nie robimy! Zbyt mocne wyrażenie. Bezstronnie stwierdzić musimy, że kobiety w większości wypadków pracują tu dość ciężko. Mieszkają kątem, często w bardzo przykrych warunkach, same gotują i piorą. Ale nawet w tych warunkach każda z nas myśli o tym, by w miarę swych sił, uzdolnień i możliwości ofiarować swą pracę żołnierzowi polskiemu.

Ubolewamy nad naszą bezużytecznością dla narodowego wysiłku, bo praca domowa to nie wszystko i w obecnych czasach pełnego zadowolenia nam nie daje. Niestety, tu jesteśmy bezsilne!

Nie każda z nas opanowała język angielski na tyle, by zgłosić się do służby w armii brytyjskiej, gdzie przyjmują bardzo chętnie, a współpraca kobiet z naszym wojskiem idzie bardzo opornie.

Nie wiem jak wygląda ona we wszystkich oddziałach, ale wiem, że w niektórych przedstawia się zgoła tragicznie. Znam wypadek, gdzie działalność Rodziny Wojsk. jest całkowicie sparaliżowana; dwadzieścia kilka kobiet nie ma możności urządzić nawet zebrania, bo nie ma lokalu. W innym wypadku brak jakiegoś, choć skromnego pomieszczenia, nie pozwala na uruchomienie szwalni. Chętne do pracy są, maszyna do szycia jest też . . . ale w wilgotnym i ciemnym magazynie. Gdzie indziej znowu słyszy się, że szeregowi nie mają świetlicy, o którą bezskutecznie jak dotychczas dobijają się oni sami, jak i Rodzina Wojsk., która chce tę świetlicę urządzić i prowadzić. Kiedy wreszcie, po długich przekładaniach, jeden przełożony lokal na świetlicę wyznaczył, wyższy przełożony po dwóch dniach lokal ten odebrał, bo był mu potrzebny do rzekomo ważniejszych celów. Takich przykładów można by przytoczyć więcej.

Chwilami człowiekowi ręce opadają, bo traci się energię i ochotę do dalszych borykań się z przeciwnościami, stwarzanymi bezmyślnie czy celowo przez nasze władze. Jeśli na takie przeszkody natrafia Rodzina Wojsk. w swej skromnej, choć pożytecznej działalności, to co tu dopiero mówić o całkowitym wprzęgnięciu kobiet do służby wojskowej.

Jakże inaczej wygląda ta sprawa w armii brytyjskiej. Anglicy, którzy mają do swej dyspozycji miliony mężczyzn, powołują do pracy przy wojsku kobiety, nie potrzeba dodawać, jak licznie! My, którzy mamy kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy zaledwie, z pracy kobiet korzystać nie chcemy!

Jeśli nie chcemy pójść tak daleko jak nasi gospodarze, którzy z kobiet robią prawdziwych żołnierzy, obsługujących działa przeciwlotnicze, zatrudnijmy Polki w biurach wojskowych, czy to w charakterze maszynistek, czy tłumaczek, w referatach kulturalno-oświatowych, w magazynach i t.d. Są kobiety prowadzące auta wcale nie gorzej od Szkotek. Trochę dobrej woli władz, a można by przeszkolić więcej kierowczyń.

Gdy zamienimy srebrne lisy na skromne, żołnierskie mundury, może przestaniemy panów drażnić.

Chodzi tylko o niewiele: o zorganizowanie tej sprawy przez nasze władze wojskowe, o dobrą wolę dowódców, którzy—jak wyjaśniłam przykładowo—nie zawsze odnoszą się chętnie i pozytywnie do zagadnienia współpracy z kobietami.

Mniej kłód pod nasze nogi i więcej zaufania, a pracować będzie każda z pożytkiem ku obopólnemu zadowoleniu!

I my chcemy przyczynić się swą pracą do wyzwolenia ojczyzny. Chcemy wrócić do Polski z naszymi żołnierzami, dzielić ich trud, a potem ich radość i wzruszenia, gdy będą wkraczać do wolnej i drogiej Warszawy!

A.G.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Zygmunta Nagórskiego jr. p.t. "Dwa pokolenia" (nr. 9 "Polski Walczącej") zasługuje ze wszechmiar na uwagę.

Można dyskutować z autorem słuszność tezy, że młodzi mają czas na obejmowanie odpowiedzialnych stanowisk, że raczej winni je zostawić starszym, a sami tylko mają się uczyć. Rzeczywistość może raczej nieco odmienne nasuwa uwagi. Przecież kryzys "doboru ludzi" przez jaki i W. Brytania i St. Zjednoczone w tej chwili przechodzą, nie jest spowodowany bynajmniej nadmiarem młodych, niedostatecznie doświadczonych ludzi na odpowiedzialnych stanowiskach. Wprost przeciwnie. Słyszymy wołanie o dopływ "młodej krwi," a wycofanie z "kluczowych" stanowisk starych, zużytych ludzi, nie mogących już nadążyć myślowo za zmianami, jakie toczące się wypadki przynoszą. Tak więc teza p. Nagórskiego może i powinna być zaopatrzona poważnym znakiem zapytania.

Natomiast całkowicie godzimy się z p. Nagórskim w twierdzeniu, iż znaczna część młodych, którym jest dane przebywanie od 20 miesięcy na terenie W. Brytanii, w bardzo małym stopniu wykorzystuje tę niezwykłą okazję. Spytajmy się samych siebie —jak też wygląda, ot choćby tylko znajomość i opanowanie przez nas języka angielskiego? I tutaj dochodzimy do bolączki naszej armii— do epidemii bridge'a. Jest to niewątpliwą zasługą p. Nagórskiego, że pierwszy—o ile mi wiadomo— wskazał na tego wroga, na tę swego rodzaju "piątą kolumnę."

Muszę się na wstępie mych uwag zastrzec. Nie jestem żadnym moralizatorem. Sam w bridge'a gram i lubię czasem zagrać trzy robry. Tak samo jak lubię wypić kieliszek wódki. Ale nie jestem pijakiem. Uważam zaś, że "brydżomania" jest epidemią—kto wie, czy nie groźniejszą w naszej armii od pijaństwa.

Epidemia ta trwa w naszej armii już od lat. Pamiętam dziesięć lat temu, jak przyszedłem z podchorążówki do dywizjonu uderzyło mnie, że faktycznie każda wolna chwila była wypełniona jedynie i wyłącznie bridge'm. I tak było stale. Na każdych ćwiczeniach, poligonach itp. i nie tylko w mojej jednostce.

"W wojsku nie można myśleć"— oto ulubiona maksyma niektórych ludzi. Nic bardziej fałszywego. Właśnie gdzie jak gdzie, ale w wojsku, w dzisiejszych czasach, trzeba i *musi się myśleć.* Obserwować przemiany, wyciągać wnioski, myśleć co można, by ulepszyć, usprawnić, zmienić. *I nie bać się swoich myśli.*

Iluż ludzi znam—ludzi niewątpliwie inteligentnych, którzy nic nie czytają, żadnej dobrej książki, ba— nawet gazety angielskiej nie wezmą do ręki, niczym się nie interesują, a każdą wolną chwilkę po zajęciach, zaraz po skończeniu jedzenia w kasynie umieją wypełnić tylko bridge'm. A jeśli do tego jeszcze znajdzie się przed nimi kieliszek whisky, no to "zadowolenie życiowe" ich nie ma już granic. Przecież tacy ludzie, to są "żywe trupy" umysłowe, ludzie, po których niczego się już spodziewać nie można, którzy nic nie wniosą do wspólnej sprawy.

A bądźmy szczerzy—iluż takich znajduje się w naszej armii? I gorzej, bo oni szerzą dalej tę zarazę. Wciągają młodych, trują ich umysły, wyjaławiają ich mózgi. Wódka i bridge—to dwa pasożyty, które "ogniem i mieczem" winny być wyniszczone w wojsku. Powtarzam—nie jestem moralizatorem. Rozumiem, że są chwile, gdy chce się wypić kieliszek wódki lub zagrać trzy robry bridge'a. Ale umiar w tych rzeczach jest konieczny!

Tak samo, jak zabójcze dla organizmu jest nadużywanie alkoholu, tak samo śmiertelnym dla mózgu jest onanizm wielogodzinnych codziennych partji bridge'a! Zaraza ta tak samo ostro winna być tępiona.

To chciałem podkreślić jako największą zasługę artykułu p. Nagórskiego. Nareszcie ktoś zdobył się na odwagę (naprawdę "cywilną") zaatakowania "choroby brydżowej" w naszym wojsku. Nie piszę o pokerze. To bowiem jest już ordynarny hazard, który—o ile wiem —jest w armii stanowczo zabroniony. Grający go nie są zdyscyplinowanymi żołnierzami. Nie będę się nimi zajmował. Ale kto wie, czy nie groźniejszy jest bridge, a to przez swoją powszechność i niewątpliwe zainteresowanie, jakie ta gra budzi.

Tym bardziej należy zwrócić uwagę na złe skutki tej epidemii. I starać się opanować ją.

Stefan Żurowski

* * *

Buenos Aires 8. XI. 1941.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze.

List Szanownego Pana Redaktora do mego męża pisany w tak serdecznym tonie, że ośmielił mnie do napisania kilku słów, by wyrazić swój zachwyt dla "Polski Walczącej." Czytamy ją z całym zapałem od nagłówka aż do ostatnich ogłoszeń. Przynosi nam w wielu chwilach smutku i zwątpienia słowa pociechy i otuchy. Czytając opisy z życia naszych dzielnych żołnierzy, przeżywamy z nimi wszelkie smutki i radości często wzruszeni do łez,—modlimy się do Boga, by dał im jak najprędzej doczekać chwili wkroczenia do Wolnej Polski. Proszę nam wierzyć, że nie ma bodaj chwili byśmy myślą i sercem całym nie byli tam razem z nimi. Żałuję, że młodszy syn mój ma dopiero 11 lat a starszy niestety jest w Polsce i już przeszło rok, jak mieliśmy ostatnią wiadomość.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze ośmielam się wystąpić z wielką prośbą. Otóż na ręce Szanownego Pana wysłałam przez p. plutonowego Edwarda M . . . , komendanta partii ochotników polskich, którzy wyjechali 6. XI. mały pasiak łowicki zrobiony na prymitywnym warsztaciku, przeznaczony do świetlicy eskadry lotniczej. Wiem, że skromny to dar, lecz całym sercem dany, by swymi barwami przypominał im nasze polskie łąki kwitnące.

Bardzobym była wdzięczna Szanownemu Panu Redaktorowi, gdybym przez "Polskę Walczącą" mogła się dowiedzieć, gdzie przebywają p.p. Adam Krupiński i Józef Gruja; wiem, że obaj byli we Francji.

Serdecznie przepraszam za trud i kłopot spowodowane prośbami i łączę wyrazy prawdziwej życzliwości i poważania.

L. N.

Pasiak, o którym mowa w tym liście przekazaliśmy Dyrekcji Polskiej Y.M.C.A. w W. Brytanii z przeznaczeniem dla jednej z obecnie organizowanych świetlic lotniczych.

* * *

W imieniu własnym i żołnierzy dziękuję za punktualne nadsyłanie nam tak prosto i jasno redagowanego tygodnika "Polska Walcząca."

Łączę wyrazy pozdrowień żołnierskich.

Aleksander Kruciński

* * *

Palencia (Hiszpania).

Kochany Panie, niedawno skończyłem czytać komplet "*Polski Walczącej*" przysłany mi przez moich przyjaciół . madryckich. Chciałem od razu napisać do Pana, aby wyrazić moje uznanie —jako b. fachowca (już przeszło dwa lata nie mam nic wspólnego z moim zawodem)—dla pisma prowadzonego przez Pana. Wyobrażam sobie, iż musi być rzeczą trudną z rozmaitych względów prowadzenie pisma o charakterze tym, który ma (i mieć musi) "*Polska Walcząca.*" Jednak poziom pisma, zwłaszcza artykułów wstępnych i politycznych (specjalnie Grabowskiego i Poznańskiego) nie ma nic wspólnego z banalnością i płytkością. Pismo Pana dochodzi, zwłaszcza do obozu koncentracyjnego w Miranda del Ebro, z dosyć dużą regularnością i cieszy się, jak Pan sam rozumie, dużą poczytnością.

Piszę o Mirandzie, ale nie wiem, czy Panu jest wiadomym, że w tym obozie koncentracyjnym jest około 400 Polaków, b. oficerów i żołnierzy armii polskiej z Francji, którzy podczas przejazdu przez Hiszpanię (rzecz oczywista w rozmaitych okresach czasu) zostali internowani i po wędrówce poprzez egzotykę rozmaitych więzień dostali się do Mirandy.

Żałuję, że warunki techniczne jak i psychiczne nie pozwalają mi pisać. Miałbym wielką ochotę skończyć zaczętą we Francji powieść p.t. "Ziemia i niebo są przeciwko nam". To ma być powieść—że się tak wyrażę—wojenna, której akcja rozgrywa się w jednej ze stron neutralnych. Może jednak kiedy zmienią się warunki i będzie można skończyć to pisanie. Natomiast czytam dosyć dużo, zwłaszcza po hiszpańsku. Dzięki temu odkryłem nieznany zupełnie świat literatury hiszpańskiej, której mimo wysiłków nieocenionego Boye'go nie znało się przedtem.

N. N.

Poszukiwania

Gerula Stanisław /50 Polish Forces, Middle East, Egypt, Cairo, poszukuje Fiałki Kazimierza.

Tobiasz Bronisław /25 Polish Forces, Middle East, Egypt, Cairo, poszukuje Grabowskiego Bolesława z 2 p.lot. /Kraków/.

P.P. Dr. Leopold Sklenarz, Dominik Kościelny, Jan Szotkowski, Marian Mangold mają w redakcji listy od kolegów z Brygady Karpackiej. Przeszlemy je po otrzymaniu adresów.

Polacy, którzy chcą zasięgnąć informacyj o hotelach, szpitalach, zaproszeniach prywatnych, przedstawieniach, zwiedzaniu miasta, tłumaczach, lekcjach języka angielskiego, oraz tłumaczeniach, mogą zwrócić się do Women's Voluntary Services Allied Information Bureau, 45, Princes Street, Edinburgh. Tel. 24031.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.